

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

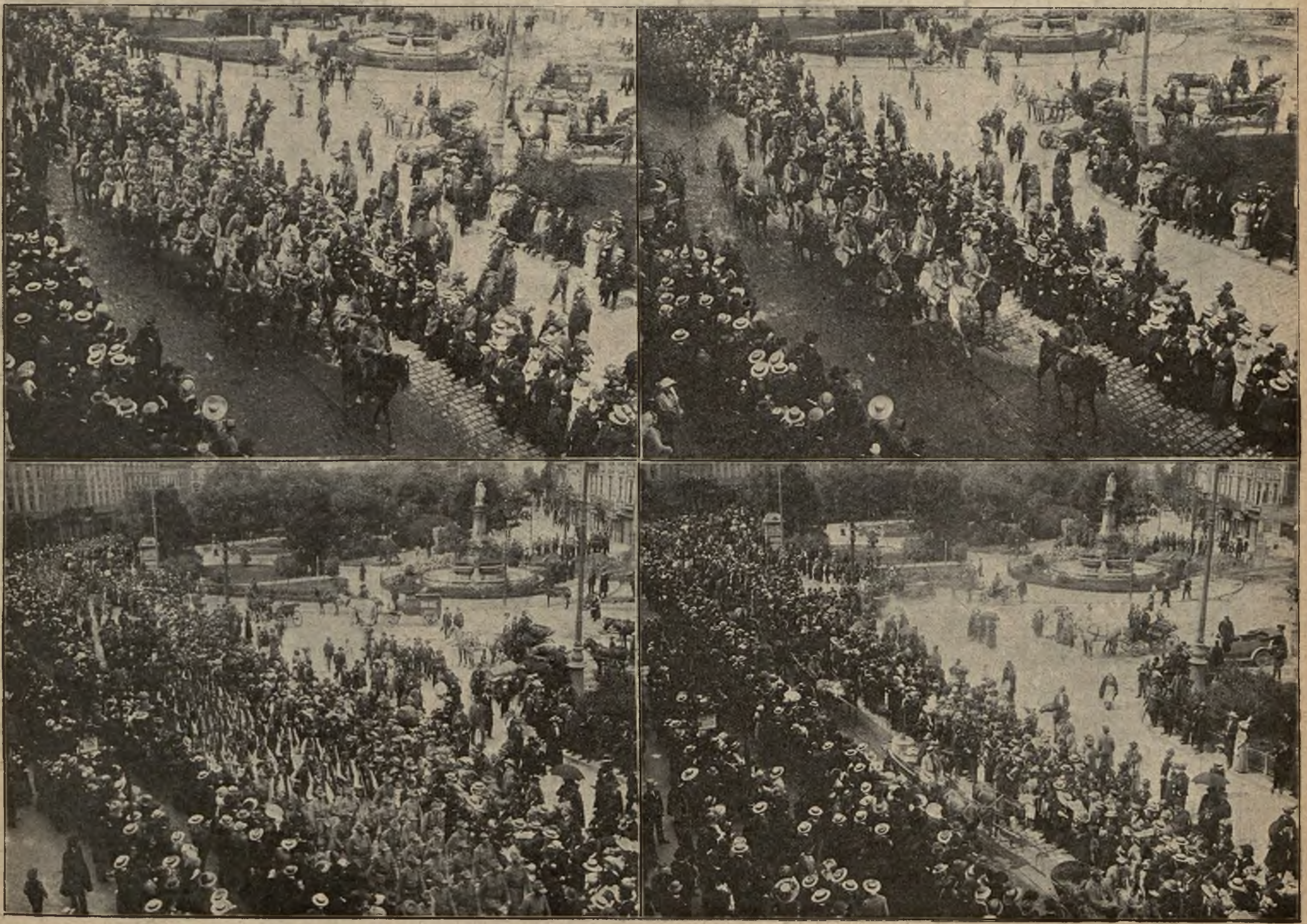
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 12 lipca 1913. Nr. 28.

Zlot Sokołów we Lwowie.

(Treść na str. 15).



Treść numeru: Wybory sejmowe w Galicyi. — Nowa wojna na Bałkanach. — Uroczystości francusko-angielskie w Londynie. — Klęska powodzi w Galicyi. — Samarytańskie ćwiczenia polowe. — Przyszła siedziba Uniwersytetu lwowskiego. — Skauci-strażacy. — Trzęsienie ziemi w Bułgaryi. — Katastrofa kolejowa w Bośni i t. d. i t. d.

Od Administracyi.

Niniejszem zawiadamiamy, że z dniem 1 lipca 1913 roku p. Wacław Lipiński ustąpił z administracyi „Nowości Illustrowanych" i z wydawnictwem naszem niema nic wspólnego.



Nowa wojna na Bałkanach: Zmobilizowana armia rumuńska zaopatruje się w prowiant.

Nowa wojna na Bałkanach.

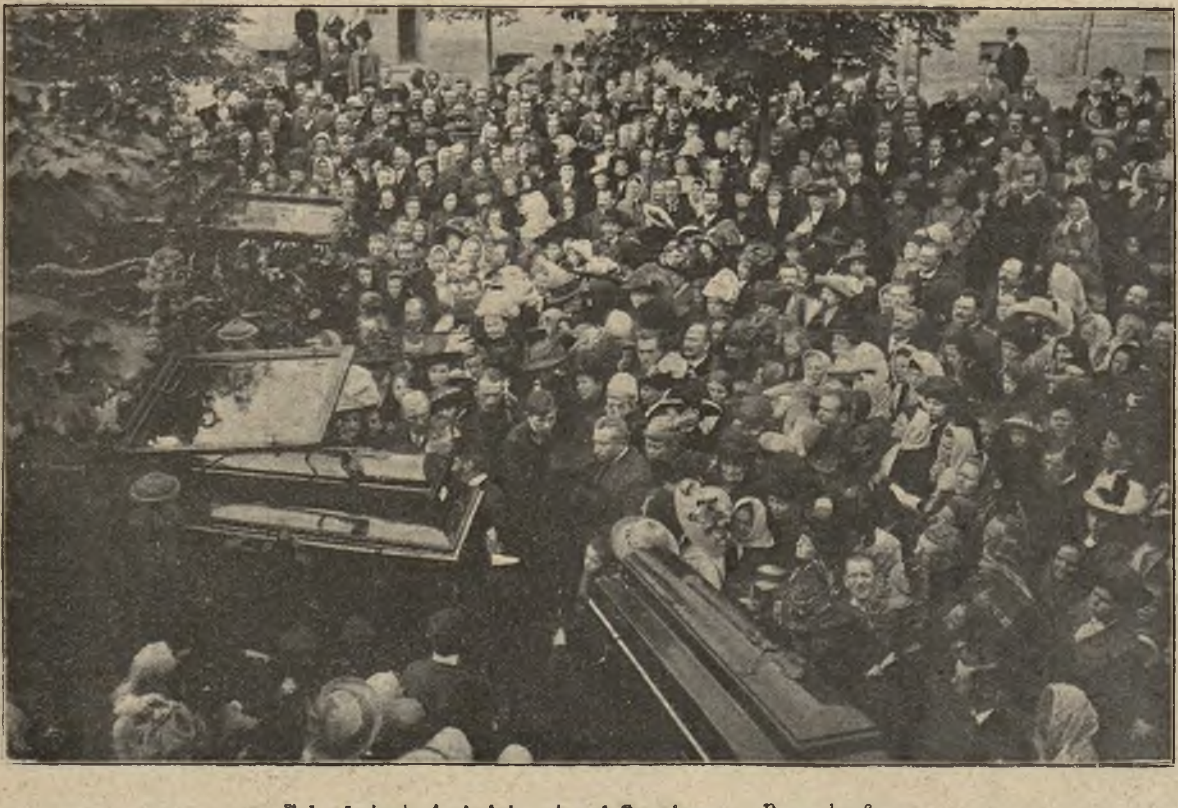
I znowu rozgorzała nad Bałkanem pożoga wojenna. Zaledwie kilkanaście tygodni minęło od chwili, gdy przestały grzmieć na Bałkanie armaty na linii Czataldży. Zawieszenie broni pozwoliło żołnierzom powrócić do domów i bodaj na chwilę ucieszyć się rodziną i krewnymi. Istotnie jednak wypoczynek ten był tylko krótką chwilą. Już znowu grzmią armaty, padają trupy i ranni. Tym razem walka toczy się na innym terenie. Nie na wschodzie huczą działa, ale na zachodzie Bałkanu. Brat przeciw bratu dobył oręża i kłócą się o zdobycz po Turcyi. Do walki stanęli dotychczasowi sprzymierzeńcy, dziś zaś zacięci wrogowie, mianowicie Bułgarzy przeciw Serbom i Grekom.

Polem walki jest znowu historyczne Owcze Pole, gdzie pierwsze klęski w poprzedniej wojnie ponieśli Turcy, Üsküp, Küprülí i okolice na północ od Saloniki.

Wojna rozgorzała już w całej pełni, a pierwsze walki przyniosły zwycięstwo Bułgarom. Serbowie zostali rozbici, jeden korpus dostał się do niewoli, połączenie armii greckiej z serbską zostało przerwane, a spodziewana lada dzień walna bitwa może za jednym zamachem obalić stanowisko państwowe Serbii i Grecyi w zdobytych na Turkach terytoryach.

Jedna tylko chmurka zagraża szczęśliwej gwieździe bułgarskiej. Oto niespodziewanie ruszyła się do walki jej sąsiadka, Rumunia. Za namową Serbii postanowiła przyjść jej z pomocą i zaatakować Bułgarów od północy, a tem samem wziąć ich w trzy ognie. Sytuacya mogłaby się wtedy stać dla Bułgaryi bardzo krytyczną. Rumunia mobilizuje już od kilku dni swoją armię i przygotowuje się do wkroczenia na terytoryum bułgarskie.

Czy zawierucha ta skończy się tylko na nowej wojnie bałkańskiej? Oto zapytanie, które zajmuje obecnie umysły wszystkich polityków. A armaty grzmią coraz groźniej i głośniej.



Echa katastrofy kolejowej pod Dunajowem: Pogrzeb ofiar.



Wybory sejmowe w Galicyi: Prezydent m. Krakowa poseł Juliusz Leo.



Wybory sejmowe w Galicyi: Agitacya przed magistratem we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wybory sejmowe w Galicyi.

Walka o reformę wyborczą sejmową była głównem hasłem, pod którego egidą odbyły się tegoroczne

Wybory sejmowe w Galicyi:



Dr. Ernest Bandrowski.



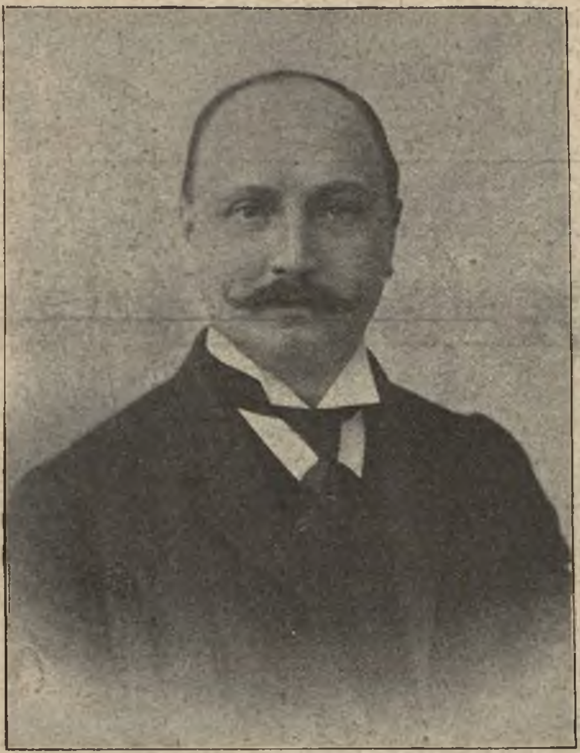
Nowowybrani posłowie z Krakowa:
Redaktor Konstanty Srokowski.



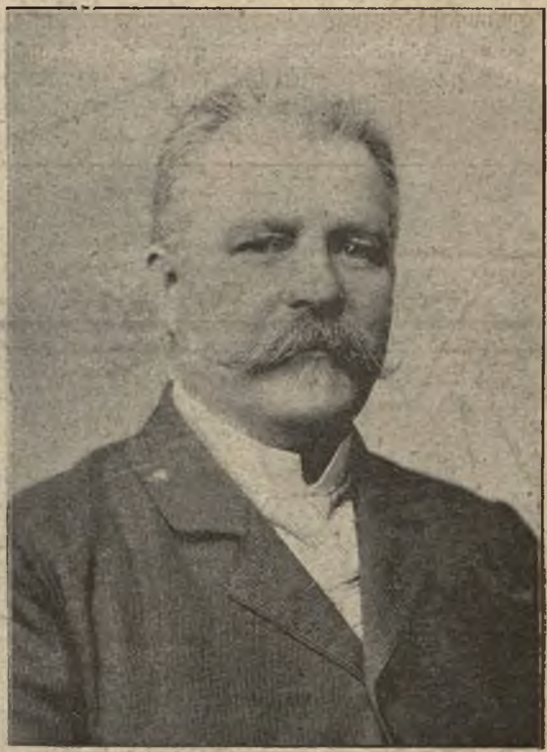
Wiceprezydent dr. Sare.



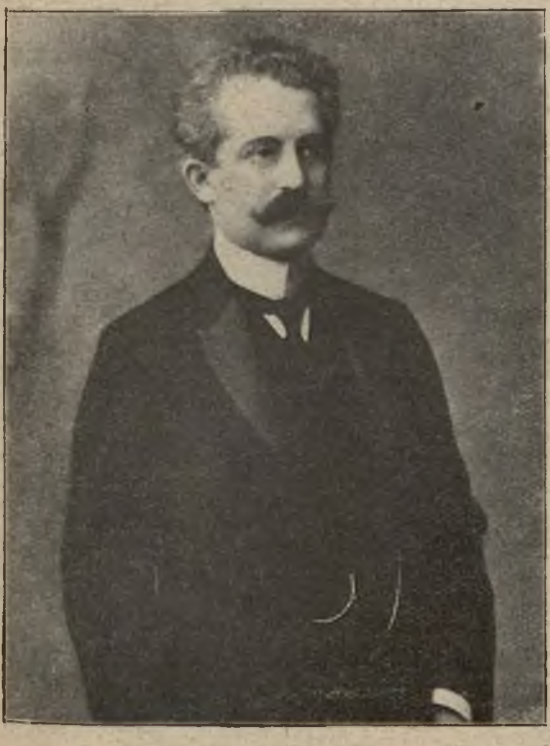
Były minister St. Głąbiński, wybrany we Lwowie.



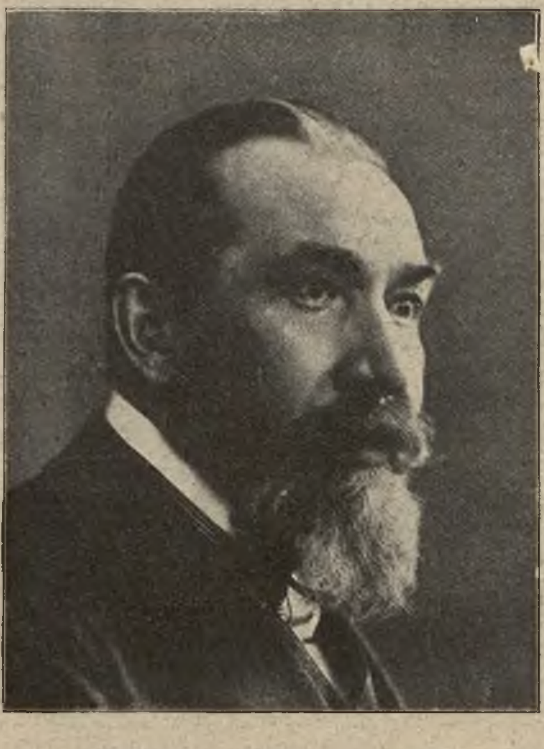
Prezes krak. Izby handlowej i przem. J. K. Federowicz, wybrany w Krakowie.



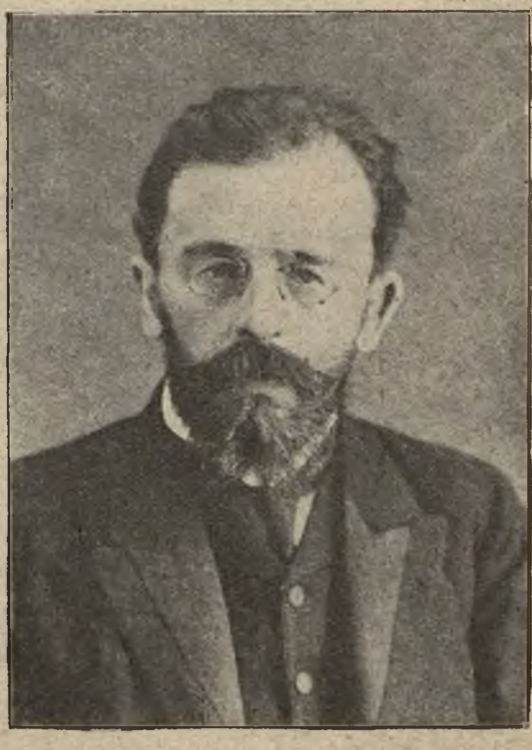
Prezydent miasta Lwowa poseł Józef Neuman.



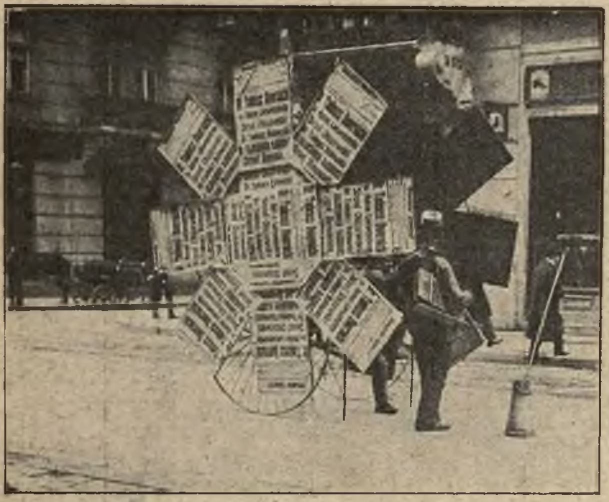
Dr. Natan Loewenstein.



Nowowybrani posłowie we Lwowie:
Edmund Riedl.



Dr. Ernest Adam.



Wybory sejmowe w Galicyi: Wózek agitacyjny we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

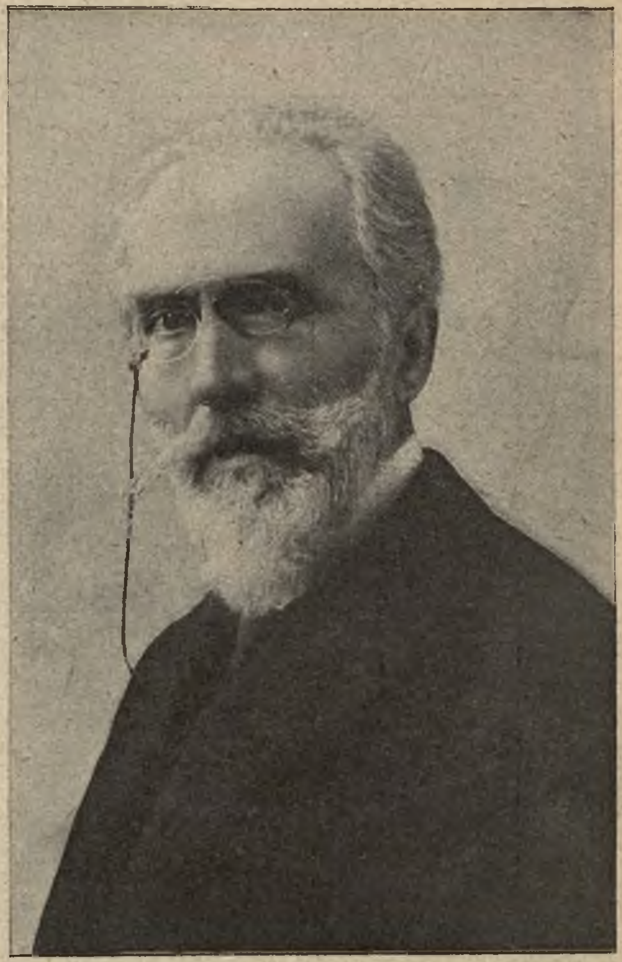
wybory do sejmu galicyjskiego. Wskutek rozbicia się rokowań kompromisowych o ustalenie zasad nowego projektu ordynacyi wyborczej, pod wpływem protestu, jaki przeciw temu projektowi podnieśli biskupi polscy, ustąpił namiestnik dr. Bobrzyński i został rozwiązany sejm galicyjski.

Nowe wybory miały rozstrzygnąć o dalszych losach reformy wyborczej. Sytuacya wyborcza ukształtowała się w ten sposób, że do walki wyborczej stanęły dwa obozy: po jednej stronie ludowcy, konserwatyści krakowscy i partye demokratyczne, po drugiej zaś narodowi demokraci, konserwatyści podolscy i różne odcienie partyi klerykalnych. Wynik wyborów dotychczas dał znaczne zwycięstwo drugiej grupie, która zdobyła szereg nowych mandatów, odbierając je pierwszej grupie. W ten sposób opozycya przeciw projektowi reformy wyborczej, przedłożonemu sejmowi przez dra Bobrzyńskiego, wejdzie do nowego sejmu w znacznie wzmożonej sile, co bynajmniej nie przyczyni się do uspokojenia umysłów. Gorsza jeszcze sytuacya wytworzyła się przez to, że Rusini zdobyli na Polakach dziesięć nowych mandatów i wchodzą do sejmu w dużej grupie 31 posłów, podczas gdy dotychczas mieli tylko 21.

Walka o reformę wyborczą stanie się więc bardzo zacięta i kto wie, czy waśnie narodowe, które miał kompromis wyborczy uspokoić, nie rozpalą się na nowo z wzmożoną siłą.

Co do przebiegu wyborów w miastach, to palmę zwycięstwa zdobyli tu przeważnie demokraci. W Krakowie wybrani zostali dr. Leo, J. K. Federowicz, dr. E. Bandrowski, wiceprez. Sare i pierwszy dziennikarz-poseł K. Srokowski. We Lwowie wyszli z urny dr. Adam, dr. Głąbiński, E. Riedl, prezydent Neuman, dr. N. Loewenstein i wiceprezydent Rutowski, a przy wyborze ściślejszym otrzymał mandat dr. Lisiewicz.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracye z agitacyi wyborczej oraz podobizny posłów wybranych w obu stolicach kraju.



Wybory sejmowe w Galicyi: Wiceprezydent dr. T. Rutowski, wybrany we Lwowie.

Uroczystości francusko-angielskie w Londynie.

Pobyt prezydenta republiki francuskiej Poincarego w Londynie, o czem pisaliśmy już w poprzednich numerach, zamienił się w wielką manifestacyę przyjaźni francusko-angielskiej... Władcę zaprzyjaźnionego państwa Londyn podejmował zarówno z wielkim przepychem urzędowego ceremoniału, jak i nadzwyczaj serdecznie. Tę serdeczność dla swego gościa ujawnił również król angielski, podkreślając swą przyjaźń dla sprzymierzeńca...

Wśród niezliczonych bankietów, przyjęć, rewii i widowisk, jakie urządzono na cześć prezydenta Poincarego, odbył się także wielki popis hippiczny w cyrku „Olimpia“.

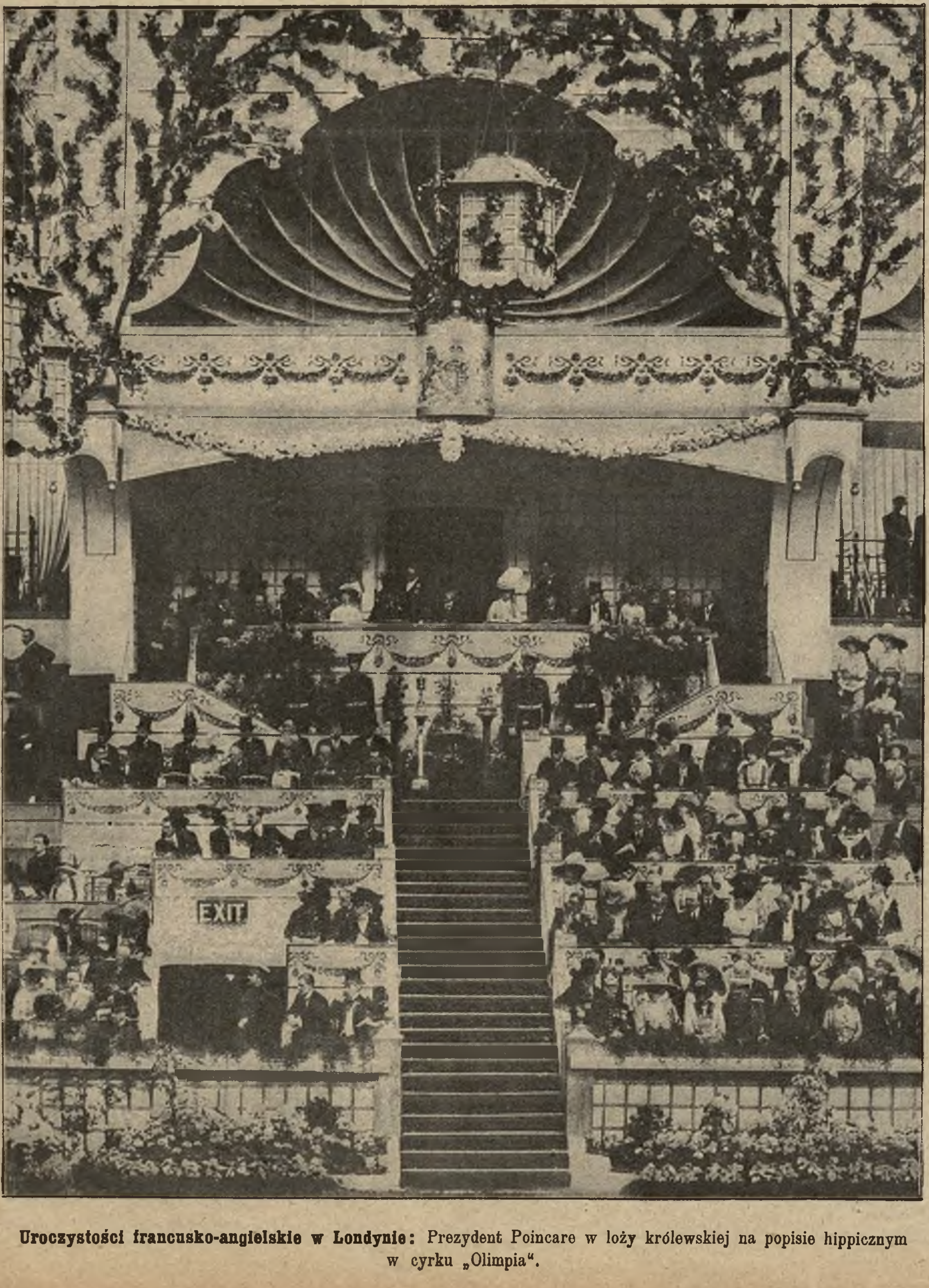
Illustracya nasza przedstawia właśnie wspaniale udekorowaną lożę królewską podczas popisu w „Olimpii“. Widzimy tam prezydenta Poincarego w gronie członków rodziny królewskiej i dygnitarzy.

Na rowerach do Hiszpanii.

Ruchliwe kluby sportowe lwowskie urządzają w tym roku dwie oryginalne wycieczki. Jedna z nich wyruszyła już ze Lwowa, a zadaniem jej, odbywając drogę na rowerach, przebyć Europę aż do Pirenejów i z powrotem. Wycieczkę tę prowadzi prof. Wacek, który przeszłego roku zorganizował podobną wycieczkę kolarską do południowej Słowiańszczyzny. Przestrzeń, jaką turyści mają przebyć na rowerze, wynosi około 3600 klm.

Uczestnicy tej wycieczki wyruszyli ze Lwowa 2 lipca. Skierowali się na Wiedeń do Monachium, stamtąd do Szafuzy, Zurychu, Rapperswilu, Lyonu, Walencyi, Milan, Tuluzy, wreszcie przez Biarritz do S. Sebastian i Tortosy.

Druga wycieczka wyruszy w połowie lipca do Rzymu i Neapolu, a dwaj uczestnicy jej odbędą drogę rowerami. Wycieczkę obliczono na 36 dni. Przy powrocie w sierpniu wycieczka ta w Genui spotka się z wycieczką prowadzoną przez prof. Wacka, wracającą z Hiszpanii i obie powrócą razem przez Pragę do Lwowa.

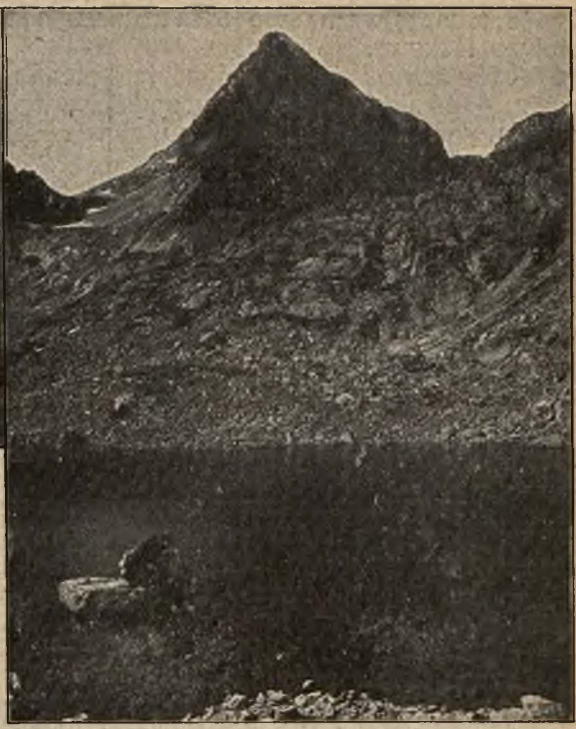


Uroczystości francusko-angielskie w Londynie: Prezydent Poincare w loży królewskiej na popisie hippicznym w cyrku „Olimpia“.



Na rowerach do Hiszpanii: Uczestnicy wycieczki kolarskiej ze Lwowa do Hiszpanii.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

Wszystkie sąsiadki i sąsiedzi byli już wtajemniczeni w sprawę depeszy pani Wandy, wiedział też o niej i Borowiecki. W głębi duszy miał jej za złe, że powstrzymywała męża od przyjazdu, zwłaszcza, że podejrzywał ją, iż zrobiła to ze względu na Jedlińskiego, którego nie lubił i był o niego zazdrosny. Dowiedział się on od pań, że pani Wanda była na poczcie z panem Jedlińskim, że poszła z nim do cukierni, że wracali razem do zakładu. Słyszał, że dla pani Wandy przeznaczył on rolę Julii, a sam chce być Romeem. W dodatku dziś widział bukiet, przysłany jej przez Jedlińskiego i nie wątpił, że róża wpięta do bluzki pochodzi z tego bukietu. To wszystko rozgoryczyło go do pani Wandy, którą ostatecznie musiał uważać za płytką kobietę, jeśli mogła zająć się Jedlińskim.

Gdy posłyszał jednak pytania Poreckiej i Łąckiej, starające się wciągnąć panią Wandę w pułapkę, żal mu się jej zrobiło i powiedział:

— Niepogoda psuje humor i nastrój przyjemny, zwłaszcza ludzi nerwowych, jak tego mamy przykład w tej chwili.

— Jaki przykład? — spojrzała pani Łącka na niego surowo.

— Właśnie te pytania o panu Jerzyckim. Czy on przyjedzie, lub nie? Czy ma czas, czy go nie ma, to są sprawy czysto osobiste.

— A to dobre, — zaśmiała się drwiąco pani Łącka, — czyż nie wolno żony pytać o męża?

— Wolno, ale nie pociąga się nikogo do odpowiedzialności, to jest już objaw chorobliwy.

Rozmowa o chorobach stanowi jedną z najmilszych przyjemności ludzi leczących się. To tak miło słyszeć o cudownych wyleczeniach, o strasznych objawach chorób i cierpień, których nie doznajemy, wydaje się nam bowiem, że my jesteśmy zdrowi i dzielni w stosunku do innych.

W dyskusyi poruszono sprawę, czy wolno skracać życie chorym, cierpiącym męki, a nieuleczalnym.

— W starożytności stosowano tę zasadę ogólnie, — mówił pan Maniecki, — nie tylko do chorych na zaraźliwe choroby, ale do kalek, zniedołężniałych starców, nieuleczalnych, którzy są ciężarem sobie i rodzinie. Była to rozumna zasada, którą należałoby i dziś stosować. Straciliby na tem doktorzy, ale zyskałaby ludzkość.

— Trzeba być człowiekiem bez serca, ażeby głosić podobne zasady, — oburzyła się pani Łącka. — Jeśli się kocha, to chociażby własnem życiem stara się przedłużyć życie chorego, a skracać je, jest zbrodnią.

— Nie wiadomo, — uśmiechnął się pan Maniecki, — co jest większą zbrodnią wobec chorego, czy pozwolić mu na straszliwe męki, kończące się śmiercią, czy też skrócić jego życie i męki. Niech pani sobie wyobrazi, że ktoś z nas wisi na palu i musi umrzeć za dzień, za dwa; co dla niego jest lepsze, czy śmierć od kuli, czy od męczarni?

— Przykład niewłaściwy, — zauważyła pani Porecka, — mówiliśmy o chorobie, a nie o torturach.

— Dobrze, — skinął głową pan Maniecki, — więc weźmy chorobę na raka, nieuleczalną i chory musi zginąć po strasznych cierpieniach, czy wcześniejsza śmierć nie będzie dobrodziejstwem?

— Ja zgodziłabym się z panem Manieckim, — odezwała się Ryta, — lepsza jest śmierć, aniżeli męczarnia.

Pani Wanda spojrzała na nią ze współczuciem i powiedziała gorąco:

— Nie mogę wyobrazić sobie, ażeby ktoś z zimną krwią zabijał drugiego, zamiast ratować go i nieść ulgę. Jest to zaprzeczeniem miłości bliźniego, zaprzeczeniem powołania lekarza, ażeby skracać życie choremu. Kto z nas może wiedzieć, jaki przebieg będzie miała choroba? Zresztą, najgorszą rzeczą dla człowieka jest stracenie odwagi do życia, które pomimo wszelkich pozorów może być jeszcze piękne i ponętne.

— Dzielnie powiedziała pani, — zawołał Borowiecki, rozpromieniony, — ma pani zdrowie i pogodę w duszy, a na poparcie zdania pani przytoczę przykład, który przed niedawnym czasem przeczytałem w dzienniku francuskim. Prokurator rzeczypospolitej francuskiej zastrzelił swą żonę, chcąc ją uchronić od strasznych mąk choroby raka, którego istnienie w jej organiźmie stwierdzili znakomici lekarze. Wykonano sekcyę i przekonano się, że... raka nie było. Sąd uniewinnił go, wszyscy okazali mu współczucie, uważając ten fakt za dowód miłości jego do żony... Tego rodzaju omyłki mogą się zdarzać i czy mamy narażać na nie tych, których kochamy?

Rozważano, czy prokurator, zabijając żonę, kochał ją prawdziwie, czy nie? Zdania były podzielone, a pan Jedliński, spoglądając na panią Wandę, rzekł tonem głębokiego przekonania:

— Dla mnie ten prokurator, zabijając żonę, nie dał dowodu swej miłości. Gdybym ja widział, że muszę stracić ukochaną i posiadałbym jej miłość wzajemną, zabiłbym ją i siebie.

— A gdyby pan nie posiadał jej miłości? — spytała pani Łotuska.

— Zabiłbym siebie! Żyć bez ukochanej i ubóstwianej kobiety, jest męką, gorszą od wszelkiej choroby.

— Wyleczyłby się pan z tej miłości, — uśmiechnął się ironicznie Borowiecki, — gdyby pan tę samą niewiastę ujrzał w swej wyobraźni w jakie dwadzieścia lat po zapałach miłosnych.

— Może pan, nie ja, — rzekł ostro Jedliński, — w kobiecie kocham ducha, jej dobroć, szlachetność, a nie ciało.

— Tak się to mówi, — zaśmiała się drwiąco pani Łącka, — żyję dość długo, a nie widziałam dotychczas, ażeby młody człowiek kochał starą niewiastę, chociażby ona była wzorem cnót i zalet. Co innego my, kobiety, dla nas piękność mężczyzny jest obojętna.

— Ale nie wiek, — wyrwało się niechcący pani Łotuskiej, co pobudziło innych do wesołości, a ona, zaczerwieniona, dodała: — miałam na myśli pewne nawyknienia wieku, które trudno zmienić.

— Co jednak robimy dzisiaj? — rzuciła pytanie pani Mniewska, — taki szkaradny czas.

— Składajmy sobie wizyty! — zaproponował pan Jedliński, — możemy się zabawić doskonale.

— Tylko bez żadnych przyjęć, — zaśmiała się pani Mniewska.

— Byłoby to nawet w złym tonie, gdyż będą to pierwsze wizyty, — rzekł pan Jedliński, — ale kiedy się zaczynają, czy zaraz po obiedzie?

— O, nie! — zawołała pani Łotuska, z uśmiechem, — musimy salon odpowiednio urządzić na przyjęcie gości.

Ułożono, że wolno wizyty składać od godziny czwartej do szóstej.

Pan Jedliński, proponując zabawę składania wizyt, miał na myśli uzyskanie sposobności zobaczenia się z panią Wandą sam na sam. Dzisiaj zwłaszcza oszałamiała go jej ponętna uroda. Okiem zakochanego znawcy badał jej figurę; białe, utoczone ręce, bujne ciemno-blond włosy; subtelną, ożywioną twarz; a od ust ślicznych nie mógł oczu oderwać.

Czuł żywsze bicie serca, krew silniej pulsującą i płonął pożądaniem ucałowania tych ust, uścisku tej pięknej niewiasty.

Umyślił pójść do niej z przywitaniem na nowem mieszkaniu, przynosząc według starego obyczaju chleb, sól i miód. U siebie miał ładną tackę japońską inkrustowaną w stylizowane kwiaty, na niej ułożył kawałek chleba, cukry w ładnej bombonierce, i sól na małej, japońskiej miseczce, a wszystko ubrał świeżymi kwiatami.

W kurytarzu pierwszego piętra, na którem mieszkała pani Wanda, czekał z niecierpliwością uderzenia czwartej godziny i pilnował drzwi pani Wandy w obawie, że ktoś może go uprzedzić.

Tackę, osłoniętą papierem, położył między wazonami kosza kwiatowego i patrzał przez wielkie okno obszernego kurytarza, przez które, prócz gęstej mgły przecinanej deszczem i śniegiem, nic nie było widać.

Za sobą posłyszał lekkie, przyspieszone kroki, obejrzał się. Była to panna Madzia Porecka.

— Czy już z wizytą? — zaśmiał się.

— Nie... jeszcze niema czwartej, a pan już gotów.

— Czekam znaku rozpoczęcia.

— Czy z tej strony? — uśmiechnęła się i oczyma wskazała na drzwi pani Wandy.

— Nie!... Ogólnego znaku, a pani nie wstąpi do pani Jerzyckiej?

— Na razie zostawiam ten zaszczyt bohaterom Szekspira, — zaśmiała się złośliwie i poszła w głąb kurytarza.

— Sądzi, że mnie ugryzła, — uśmiechnął się lekceważąco, — a ja ciebie i wszystkie panny daruję innym, byle ona naprawdę była moją „Julią". Przed oczyma przesunął się obraz, gdy Julia przemawia z balkonu do Romea. To wspomnienie podnieciło jego namiętność. Wtem posłyszał, jak zegar kurytarzowy zaczął bić czwartą godzinę. Szybko wziął tackę i zapukał do drzwi pani Wandy, nie zauważywszy, że z dalszego pokoju wyszły na kurytarz panna Madzia i pani radczyni, które aż przystanęły, ażeby go lepiej obserwować. Widziały odsłoniętą tackę, na niej pudełko cukrów, jego minę niepewną i niecierpliwe ruchy.

— Ta niczem kot do myszy, taki on łasy, — szepnęła uśmiechnięta radczyni.

— Co on też jej niesie, prócz cukrów? — odszepnęła Madzia, — i co się w niej jemu podoba, że tak goni za nią?

— Ta wiadomo, młoda mężatka i romans.

Jedliński zamknął za sobą drzwi i stanął przed siedzącą na foteliku panią Wandą.

— Witaj nam pani i królowo, — mówił wesoło, trzymając tackę przed sobą, — sługa twój i niewolnik przynosi ci w hołdzie chleb, sól

i miód, prosząc wzamian o jeden uśmiech, o jedno słówko łaskawe.

— Nie trzyma się pan dokładnie starego zwyczaju, — uśmiechnęła się swobodnie, — bo nie składa pan życzenia, ażeby w chacie dobrze się darzyło.

— Zdawało mi się, że moje szczere i serdeczne życzenia są pani znane.

— No, i nie w cudzoziemskich naczyniach podaje się chleb i sól, lecz w swojskich.

— Pani jest dla mnie istotą nie z tych naszych, mglistych i zimnych krajów, lecz z baśni czarodziejskiej... i dlatego wybrałem egzotyczne, zamorskie naczynie.

— Niestosowne dla mnie... ale siadaj pan, proszę; czy rozpoczęły się już wzajemne odwiedziny?

— Nie wiem, czekałem z upragnieniem oznaczonej godziny, a na wszystko inne byłem ślepy i głuchy, jak przystało na niewolnika pani.

— Tego rodzaju frazesy są mi niemiłe, niewola to taka przykra rzecz.

— Lecz jeśli dla kogoś niewola jest szczęściem... pragnąłbym być prochem u stóp pani, rzeczą drobną i nikłą, byle być tylko przy pani.

— Dziś, panie Jedliński, nawet podlotki śmieją się z romantycznych zachcianek, teraz każdy liczy się z rzeczywistością.

— I ja się liczę. Dla mnie pani jest poezyą samą, czarodziejką, której sama obecność przenosi mnie w światy piękna i ideału.

— Wróćmy jednak z tych zaświatów do rzeczywistości. Czy widział pan nowoprzybyłe panie?

— Nie jestem ich ciekaw, mój świat cały zamyka się w jednem słowie.

— Musi to być mały światek, coś w rodzaju kropli wody, która odbija otoczenie swoje.

— O, nie!... Dla zakonnika naprzykład światem całym jest Bóg... a jeśli ktoś spotkał w życiu istotę, będącą początkiem i końcem szczęścia, rozkoszy, życia, czy nie wolno mu powiedzieć, że świat cały zamyka się dla niego w jednem słowie?

— To rzecz osobistych zapatrywań, — powiedziała obojętnie, — a komu zamyśla pan składać wizyty?

Ten jej chłód, rozmyślne unikanie rozmowy, której pragnął, i zachowanie się, odmierzone i bardzo ostrożne, rozdrażniły go i gniewały. Spodziewał się, że zostanie przyjęty z radością, że wdzięczna mu będzie za ofiarowaną usłużność i okazywane uwielbienie, że podzieli jego uczucie i okaże mu swe względy. Przemógł jednak swą gorycz i spytał żartobliwie:

— Czy pani lubi grę w ślepą babkę?

— Niegdyś lubiłam, gdy byłam dzieckiem, dziś mam otwarte oczy na wszystko.

— Więc pani widzi, jak panią uwielbiam, — przysunął się z krzesłem do niej, — jak czczę i szanuję... Pani jest dla mnie życiem, szczęściem, rajem. Rozkazuj, a wszystko poświęcę dla pani, — a widząc jej surową minę: — nie odtrącaj mnie pani, tak oddanego, tak kochającego serca nie znajdzie pani na świecie, — pochwycił jej rękę i całował namiętnie mówiąc półgłosem: — ja kocham ciebie, szaleję za tobą.

Starała się oswobodzić rękę, ale on nie puszczał, a przy ostatnich słowach ukląkł i starał się objąć ją.

Wstała odtrąciwszy fotel i zaczerwieniona powiedziała gniewnie:

— Wstań pan! Niczem nie upoważniłam pana do tych oświadczyn! Zapomina pan, że jestem mężatką.

— Ach, takie węzły zrywa się łatwo, — stanął przed nią, — od tego jest Rzym, zaś ja adwokatem i pomówmy rozsądnie i spokojnie. Dobrze? pani Wando!

— Nie! Nie chcę słuchać.

— Niech się pani mnie nie obawia, nie jestem wężem kusicielem, — uśmiechnął się, — i pani raczy mnie wysłuchać.

— Nie!

— Jeśli pani chce, ażebym wyszedł, wpierw zechce pani usiąść... opowiem pani całą rzecz spokojnie i rozstaniemy się, jak przystało na dobrze wychowanych ludzi.

— Więc dobrze... mów pan, — usiadła na taburecie.

— Od pierwszej chwili spotkania... pamięta pani, na Gubałówce... zrobiła pani na mnie olbrzymie wrażenie. Zdawało mi się, że ujrzałem zaklętą królewnę, pełną wdzięku i nieopisanego uroku. Miałem głuche przeczucie, że w owej chwili spotkałem się z mojem przeznaczeniem. Pani była tak urocza, takie oczy głębokie, niewinne i cała była pani w blaskach i promieniach zachodzącego słońca... Czy pamięta pani?

— Dobrze już, dobrze... możeby pan się skracał.

— Od tej chwili nie miałem spokoju, obraz pani miałem ciągle przed oczyma. Napróżno starałem się wyzwolić z pod tego uroku. Im bliżej poznawałem panią, im częściej widziałem, tem bardziej ulegałem czarowi piękności pani. Straciłem panowanie nad sobą! Żyłem tylko dla



— Składajmy sobie wizyty! — zaproponował pan Jedliński.

pani i przez panią. Błogosławiłem ten dzień i godzinę, gdy mąż pani odjechał, jego obecność przy pani była zmorą, duszącą mnie we dnie i nocę. Zdawało mi się, że zacząłem nowe życie, gdy odjechał.

— Mąż musiał wrócić, bo gospodarstwo tego wymagało, — usprawiedliwiała się mimowolnie, — i niech pan już kończy, to niegodne mężczyzny, ażeby zmuszać mnie do słuchania osobistych spraw pana, — zarumieniła się z gniewu na myśl, że ktoś może wejść i zastać ich razem.

— Zazaz skończę... Oszalały z miłości wyznałem ją przed panią. Pamięta pani ten wieczór w salonie?

— Tak samo zmusił mnie pan wówczas do słuchania, jak dzisiaj.

— Może... ale otrzymałem półobietnicę z ust pani, tego pani nie może zaprzeczyć.

— Wcale nie pamiętam.

— A jednak tak było i słowa pani były mojem zbawieniem, ratunkiem. Na nich zbudowałem gmach mego szczęścia... a dziś, cóż pani złego zrobiłem? w czem przewiniłem? Jeśli zgrzeszyłem, jeśli obraziłem, to tylko z wielkiej, nadziemskiej miłości. Oto stoję przed panią pokorny i cichy, nie odtrącaj mnie pani, zostaw mi choć cień nadziei, że kiedyś zdołam pozyskać, jeśli nie miłość, bo to byłoby zbyt wielkiem szczęściem, to przynajmniej szczere współczucie i trochę sympatyi.

Mówił tonem szczerym, serdecznym, sam upajał się własną wymową, i podziwiał siebie. Swemu głosowi nadawał czułość i miękkość. Wkońcu tak się rozczulił, że sam uwierzył w swoją miłość, a swoją drogą bardzo bacznie śledził wrażenie swych słów.

Widział na razie jej oburzenie i gniew, lecz stopniowo wyraz jej twarzy łagodniał, co go podniecało i cieszył się nadzieją pozyskania jej.

Istotnie to wyznanie miłości, powiedziane szczerze, podziałało wbrew woli na panią Wandę. W głębi każdego człowieka tai się próżność i egoistyczna duma, to też pani Wandzie pochlebiła ta jego miłość głęboka, odczuwała pewne, nieokreślone zadowolenie, że natchnęła go takiem szczerem uczuciem i przemknęło jej w myśli, jakby Madzia i inne panie cieszyły się jego oświadczeniem, gdyby do nich było zwrócone. Miała już dobre słowo na ustach i zawahała się.

On dostrzegł to w jej spojrzeniu, w wyrazie jej twarzy i mówił gorąco:

— Ja wielbię i kocham panią, tyś dla mnie świętą, ideałem, mojem życiem i przyszłością! Powiedz mi tylko jedno, jedyne słowo, a będę najszczęśliwszym z ludzi.

I ufny w swą wymowę, sam podniecony i rozczulony, wziął jej rękę i okrywając gorącymi pocałunkami szeptał:

— Tyś moja! moja na wieki! jedyna! — oddychał nierówno, ogarniając ją płonącemi oczyma.

Ta chwila namiętności źle powstrzymywanej otrzeźwiła ją. Znikło wszelkie współczucie, a została troska, w jaki sposób wyplątać się z niemiłego położenia, ażeby siebie nie narazić, a oszczędzić jego miłość własną. Wysunęła mu rękę, którą całował i pieścił, i rzekła z ujmującą uprzejmością:

— Panie Jedliński, bądźmy szczerzy ze sobą, czy zgoda?

— Tylko o to proszę.

— Wysłuchałam słów pana, na jego żądanie... wierzę w uczucie pana, ale ja dla pana mam tylko szczerą przyjaźń, — a widząc jego ruch przeczący, — nie chcę łudzić i zwodzić pana, jeśli pan zadowoli się przyjaźnią, będzie to dla mnie dowodem, że pan istotnie mnie szanuje i poważa.

Takiego zakończenia nie spodziewał się, poczerwieniał, pobladł, zachwiał się i opierając się rękami o stolik, powiedział głuchym głosem:

— Nie! Nigdy! Wolę zginąć...

Wyglądał tak zmieniony, tak wzburzony, że pani Wanda przeraziła się i nagle błysnęło jej, że on może tu, u niej, zachorować. Wstała szybko z taburetu i zawołała przestraszona:

— Co panu! Może wody? Ach, Boże! Uspokój się pan!

— To nad moje siły, ja panią tak kocham tak uwielbiam, — mówił słabnącym głosem, spostrzegł bowiem jej przestrach i umyślił go wyzyskać, — chciałbym zginąć u stóp pani, — kończył z omdlewającem spojrzeniem i jakoby bezwładny osunął się na kozetkę.

Patrzała na niego bezradna przez chwilę i nagle powiedziała:

— Zawołam doktora.

— Nie! Nie! Skompromituje pani siebie i mnie! Ja zaraz przyjdę do siebie, to minie!... Połóż pani rękę na mojem czole, uspokoję się...

Żądanie to wydało się jej takie niewinne, że przystąpiła do niego, położyła rękę na czole, on zaś ujął jej drugą rękę i całował z wdzięcznością szepcząc:

— Kocham cię nad życie... tyś moja, jedyna! — i przyciągał ku sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Klęska powodzi w Galicyi: Wylew w Kałuszu.

Klęska powodzi w Galicyi.

Ostatnie dni deszczowe w Galicyi spowodowały straszną klęskę powodzi, która nawiedziła różne miejscowości kraju. Wylał San, wylały rzeki na pograniczu kraju od wschodu, zrywając mosty i połączenia kolejowe. Komunikacya między Podwołoczyskami a Wołoczyskami jest zerwana, tak, iż na wschodzie do Rosyi dostać się nie można.

Także u nas, w okolicach Krakowa, wylało kilka rzek, między innymi pod Oświęcimiem Soła, która zalała kilka wsi.

W powiecie kałuskim, gdzie deszcze trwały od 15 maja prawie bez przerwy, wezbrała Łomnica i mała rzeczka Siwka, wylewając bardzo szeroko i czyniąc bardzo wielkie szkody. W Kałuszu stanęła pod wodą część miasta od strony salin. Plony w całej okolicy zostały prawie doszczętnie zniszczone. W salinach woda zabrała 50 sągów drzewa opałowego. Również szereg domów stanął pod wodą.

Illustracye w naszym numerze przedstawiają dokładnie ogrom klęski, która odbije się znowu w przykry sposób na stosunkach ekonomicznych naszego kraju.



Klęska powodzi w Galicyi: Miasto Kałusz pod wodą.

Samarytańskie ćwiczenia polowe.

Wzorując się na zagranicy, urządzamy coraz częściej i u nas w Galicyi kursy samarytańskie, w których biorą udział przedstawiciele wszelkich sfer społecznych, bez różnicy płci i wieku. Za obu stolicami poszły i mniejsze miasta. Dziś w każdem z nich znajduje się spora garstka ochotników, biorących gorliwy udział w nauce teoretycznej i ćwiczeniach praktycznych, by módz kiedyś pospieszyć z pomocą cierpiącym współbraciom.

W ten sposób zorganizowano w całym kraju zastępy samarytańskie, instytucyę najbardziej może humanitarną ze wszystkich, jakie powstały u nas w ostatnich czasach.

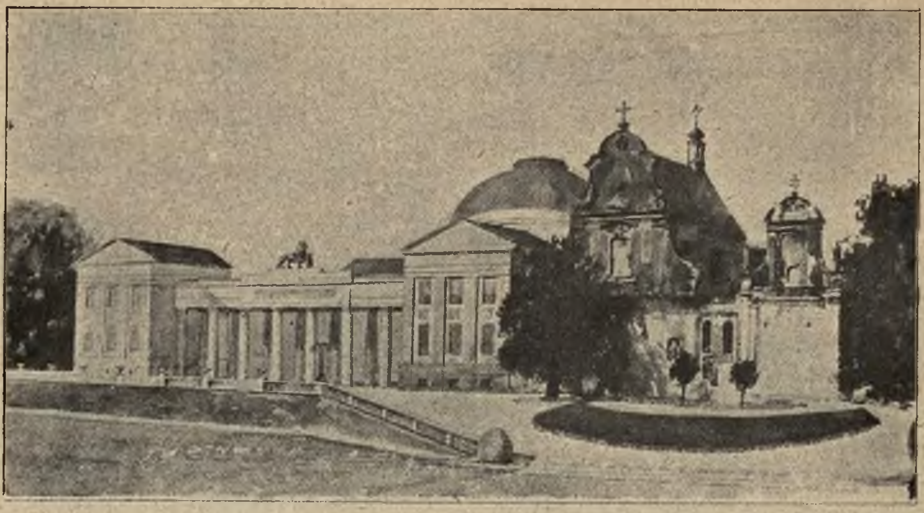
Tego rodzaju kurs samarytański urządził również i „Sokół" w Sokalu pod kierownictwem miejscowego lekarza, dra Waygla.

Kurs ten trwał trzy miesiące, a uczęszczało nań przeszło 100 osób płci obojga.



Samarytańskie ćwiczenia polowe: Grupa uczestników sokolego kursu samarytańskiego w Sokalu. (Fot. J. Mazur, Sokal).





Przyszła siedziba Uniwersytetu lwowskiego:
Projekt architekta Tadeusza Obmińskiego ze Lwowa. (Fot. M. Münz, Lwów). Projekt architekta Kazimierza Wyczyńskiego i Ludwika Wojtyczki z Krakowa.

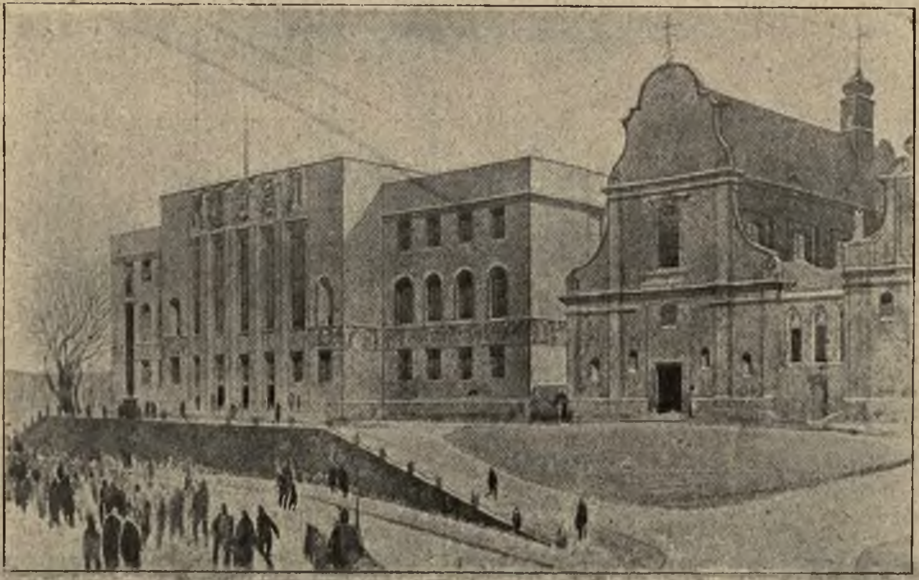
Program tego kursu różnił się tem od innych tego rodzaju kursów w kraju, w ostatnich czasach urządzanych, że miał spełnić podwójne zadanie. Z jednej strony miał zaznajomić uczestników kursu z ratownictwem, a z drugiej wprawić kobiety w służbę pielęgniarską, mężczyzn zaś przygotować do sanitarnej służby polowej. Prócz wykładów teoretycznych i częstych praktycznych ćwiczeń odbyto na zakończenie praktyczny egzamin na polach pod Sokalem, gdzie zaimprowizowano ambulans i prowizoryczny szpital polowy.

Illustracya przedstawia właśnie grupę uczestników po skończonych ćwiczeniach w polu.

Starożytna synagoga w Przemyślu.

Jednym z najstarszych zabytków Przemyśla jest żydowska synagoga z r. 1579, która obecnie będzie restaurowana. W tym celu utworzył się specyalny komitet, który przystępuje do odnowienia tego historycznego zabytku.

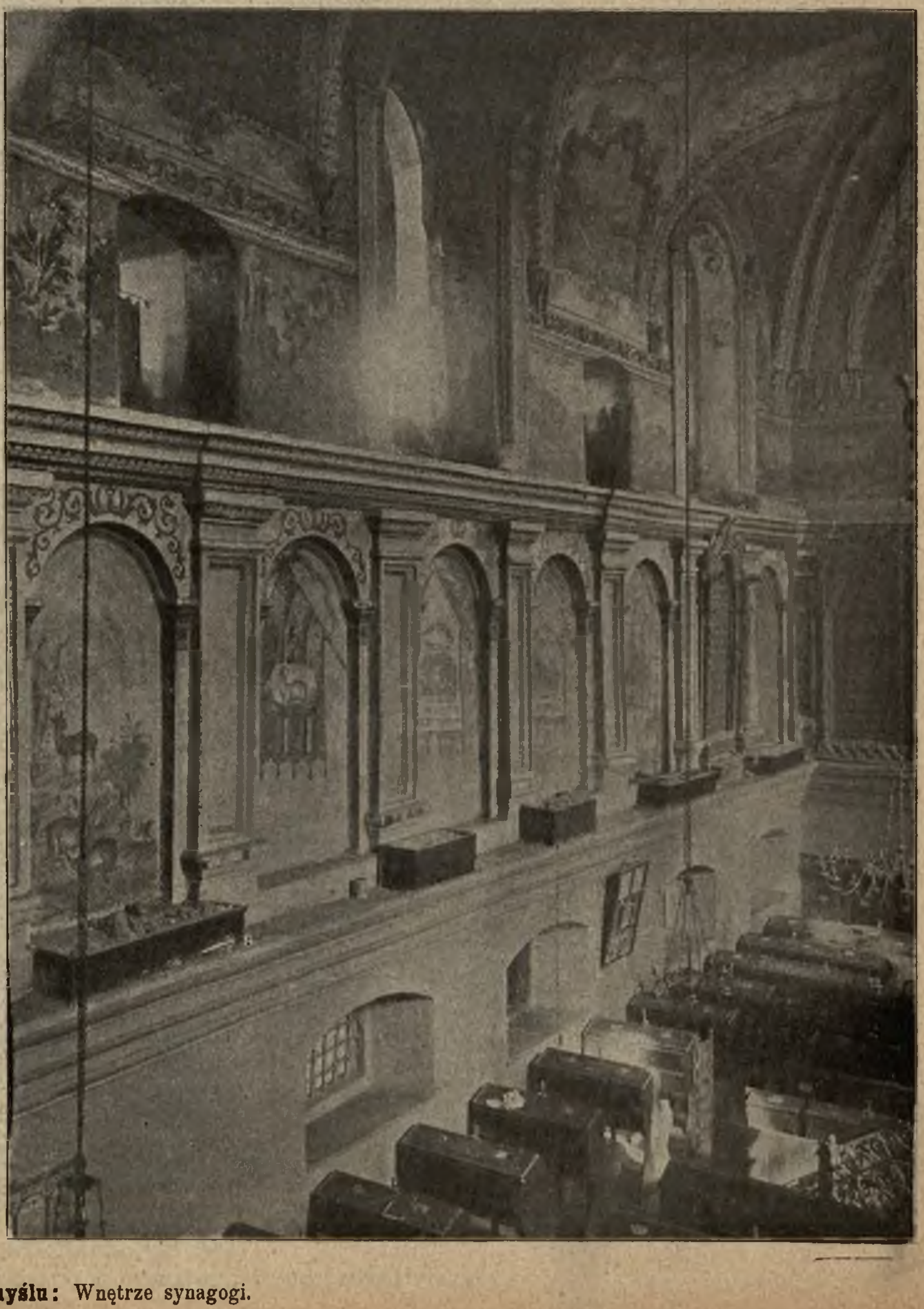
Synagoga stoi przy ul. Jagiellońskiej, a budowana była prawdopodobnie przez budowniczego Boniusza, który w XVI. w. przebywał w Przemyślu. Jest ona cennym zabytkiem renesansu polskiego.



Przyszła siedziba Uniwersytetu lwowskiego: Projekt architekta Adolfa Szyszko-Bohusza i Maksymiliana Burstina ze Lwowa. (Fot. M. Münz, Lwów).

Rzut świątyni jest prostokątny, zaś w środku cztery słupy dźwigają dziewięć sklepień krzyżowych. Ołtarz główny ma rozwiązanie architektoniczne toskańskie, ołtarz zaś środkowy znajduje się między trzema słupami korynckimi na podwyższeniu. Wokoło świątyni wewnątrz ściany są rozwiązane architektonicznie. Cała świątynia jest polichromowaną malowidłami o motywach wschodnich z roku 1869. Do świątyni głównej przytykają sale modlitewne w dwu piętrach, przeznaczone dla kobiet. Sale te, mające okna półpełne, o większym łuku od głównej świątyni, posiadają bogate sztukaterye na suficie, zwłaszcza w liniach żebrowych sklepień. Bogate sztukaterye znajdują się także na liniach żebrowych sklepień w głównej sali świątyni. Obecnie, gdy gmina izraelicka przystąpiła do konserwacyi, staraniem sekcyi archeologicznej Tow. Przyj. Nauk w Przemyślu zajęło się synagogą i grono konserwatorów Galicyi wschodniej. Niedawno odbyła się w synagodze komisya budowlana, na której oprócz delegatów gminy izraelickiej, wiceburmistrza dra Smulnego, asesora Scheinbacha, dra Smolarskiago, inżyniera Baranieckiego z Biura te-





Starożytna synagoga w Przemyślu: Wnętrze synagogi.

chnicznego, inżyniera Schäfera, przedsiębiorcy i Kazimierza M. Osińskiego, architekta ze sekcyi archeol. Tow. Przyj. Nauk, był obecnym także architekt Tad. Mokłowski, jako delegat grona konserwatorów. Postanowiono odbić tynk z malowidłami z r. 1869 wewnątrz synagogi i na nowo ściany otynkować i pomalować, zatrzymując te same profile gzymsów i kształt sztukateryi w żebrach sklepień, dalej wymienić ramy drewniane w oknach na żelazne, oraz odbić tynk zewnątrz synagogi, zaś fasady architektoniczne rozwiązać na tle istniejących już pilastrów w górnej części fasad synagogi. Przed paroma dniami gmina izrael. otrzymała projekt fasad architekta Tad. Mokłowskiego, zatwierdzony przez grono konserwatorów Galicyi wschodniej, Konserwacyę gmina izrael. oddała w przedsiębiorstwo inż. Sal. Schäferowi, zaś grono konserwatorów Galicyi wschodniej poleciło Kaz. M. Osińskiemu, architekcie, zająć się dopilnowaniem umiejętnie mającej przeprowadzić się konserwacyi ze strony sekcyi archeol. Tow. Przyj. Nauk w Przemyślu.



Pięćdziesięciolecie „Bratniej Pomocy" we Lwowie: Prezesi „Bratniej Pomocy" słuchaczów Politechniki lwowskiej.

Premiowe strzelanie lwowskich uczniów.

Wprowadzona od kilku lat w naszych szkołach średnich nauka strzelania budzi z każdym rokiem coraz więcej zajęcia. W bieżącym roku wprowadzono pewną nowość: kierownictwo kursów strzeleckich oddano nauczycielom, będącym oficerami rezerwowymi, a mającym do tego odpowiednią kwalifikacyę, w szczególności zaś nauczycielowi VII. gimnazyum p. Drozdowi.



Pięćdziesięciolecie „Bratniej Pomocy" we Lwowie: Członkowie „Bratniej Pomocy" słuchaczów Politechniki lwowskiej. (Fot. K. Skórski i L. Wilczyński, Lwów).

W dniu 28. czerwca odbyło się na wojskowej strzelnicy we Lwowie premiowe strzelanie uczniów ośmiu szkół średnich, którzy w ubiegłym roku szkolnym pobierali naukę.

Wzięło w nim udział 99 uczniów najwyższych klas pod przewodnictwem profesorów.



Premiowe strzelanie lwowskich uczniów: Młodzi strzelcy i ich kierownicy na strzelnicy wojskowej.

Strzelanie rozpoczęło się o godzinie 3-ej po południu w obecności wiceprezydenta Rady Szkolnej krajowej, dra Dembowskiego, wiceprezesa Tow. zabaw ruchowych dra Hojnackiego, J. E. Andrzeja ks. Lubomirskiego i wielu innych gości. Ze strony wojskowości zjawił się jenerał major Szekely de Buda z pułkownikiem obrony krajowej K. Jenten… i licznem gronem oficerów.

Uroczystość zaszczycił swem przybyciem także i namiestnik ekscellencya Korytowski, którego przybycie powitała orkiestra wojskowa odegraniem Hymnu ludów.

Po ukończeniu strzelania, które wypadło pod każdym względem znakomicie, nastąpiło rozdanie nagród, których było dwadzieścia kilka, między niemi niektóre bardzo piękne i cenne. Najpiękniejsza była darem pana Namiestnika, kilka ofiarował dr. Dembowski, sześć wartościowych przedmiotów władza wojskowa, reszty dostarczyły zakłady, do których uczęszczają młodzi strzelcy.

Rozpoczął rozdawanie nagród wiceprezydent dr. Dembowski przemówieniem, w którem złożył serdeczną podziękę wojskowości za popieranie na każdym kroku nauki strzelania, poczem zwrócił się do młodzieży z wyrazami uznania i zachęty. Następnie pr… mówił pięknie i serdecznie jenerał Szekely, pod… sząc wartość nauki strzelania i korzyści, jakie o… przynosi dla sprawności fizycznej.

Po wspólnem zdjęciu fotograficznem, które d… uczestników będzie miłą pamiątką, opuściła zadow… lona młodzież strzelnicę i przy dźwiękach włas… orkiestry powróciła do miasta.

Profesor Adam Drozd, który podjął się żmu… ale wdzięcznej pracy kierowania nauką licznych za…

stępów młodzieży, należącej do kilku zakładów, może się poszczycić, że osiągnął nader pomyślne wyniki swego trudu.



Kolonia dla dziewcząt w Krynicy: Grupa „kolonistek" z kierownikiem dr. Stan. Lewickim na czele.

Kolonia dla dziewcząt w Krynicy.

Od roku 1909 istnieją w Krynicy kolonie lecznicze dla niezamożnych dziewcząt jako filia Towarzystwa kolonii leczniczych we Lwowie. Towarzystwo to, założone przez ś. p. dra Józefa Zulińskiego, istnieje już od roku 1885 i posiadając w Rymanowie własne domy, wysyła co roku tamże około 150 dzieci celem przeprowadzenia odpowiedniego dla nich leczenia. Przed laty pięciu powstała myśl, aby zakres działania Towarzystwa rozszerzyć i utworzyć podobną kolonię w Krynicy dla dorastających dziewcząt, w wieku lat 14—18. Postarano się więc u c. k. rządu jako właściciela Krynicy o bezpłatne



Jubileusz polskiego księgarza na Litwie: Wacław Makowski, właściciel polskiej księgarni i czytelni w Wilnie.

ieszkanie i kąpiele. Kierownictwo objął dr. Stani- w Lewicki, lekarz w Krynicy. W tym roku pen- at pani Zarzyckiej przyjął również na mieszka- ześć kolonistek, resztę zaś utrzymuje zarząd obroczynności publicznej. W tym roku 22 kolo- tek korzystało z pobytu w Krynicy. Pomieszczenie onistek na razie jednak nie odpowiada właści- u celowi. W ciasnych pokojach śpi po sześć istek, o ile zaś jest zimno i słotno, muszą tam eż przez cały dzień przebywać. To też zarząd lo zbudowania własnego, chociażby najmniej- go domu, jak dotychczas jednak osiągnięcie tego celu jest jeszcze bardzo dalekiem. Zbierane corocznie fundusze wystarczają dotychczas zaledwie na utrzymanie kilkunastu dziewcząt, na fundusz budowy domu nic jeszcze odłożyć nie zdołano.

Dzieło kolonii leczniczych zasługuje na pełne poparcie, gdyż korzyści osiągane przy ich pomocy są znaczne.

Samouk-wynalazca.

Jakie zdolności drzemią w naszym ludzie, niestety jednak nie wyzyskane należycie, o tem jako przykład służyć nam może Ignacy Gajniak z Jabłonki na Orawie.

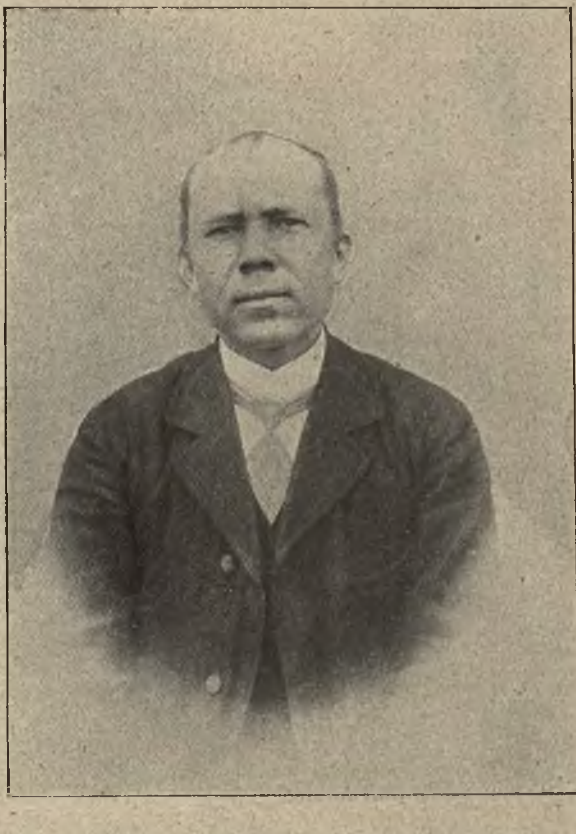
Urodzony pod wiejską strzechą, skończył zaledwie wiejską szkółkę, i mimo że okazywał już w młodocianym wieku nadzwyczajne zdolności, nie było mu danem kształcić się dalej, z powodu ubóstwa rodziców. Został tedy na roli w swej wiosce, jednak nie przestał pracować nad sobą. Wiedziony nadmierną ciekawością, rozbierał harmonijki, zegary i zegarki, badał ich konstrukcyę. To samo robił i z maszynami, które mu pod rękę wpadły. W krótkim czasie zasłynął jako sztukmistrz w tym względzie. Nie było zegarka lub maszyny, którejby nie naprawił.

Nie znając nawet nut, skonstruował kilka organów własnego pomysłu, wykończonych aż do najdrobniejszego szczegółu przez siebie. Organy te znajdują się w kościołach na Orawie i pełnią swe funkcye należycie.

Nabywszy przypadkowo aparat fotograficzny, nauczył się sam sztuki fotografowania. Załączona własna podobizna jest robotą Gajniaka.

Jeden z działaczy narodowych na Spiżu i Orawie, dr. J. B., odwiedził tego niezwykłego człowieka i tak opisuje swe wrażenia:

Gajniaka zastałem w jego chacie ubogiej, lecz schludnej, przy robocie. Zajęty był właśnie naprawą jakiegoś starożytnego zegarka, przysłanego z głębi Węgier, któremu fachowcy nie mogli dać rady. Pod jego rękami zegar już był w ruchu. Zegarków i zegarów, czekających naprawy, było więcej, niż u zawodowego zegarmistrza. Oprócz tego warsztat stolarski, aparat fotograficzny, a nadto biblioteczka i gazetki, tak polskie jak i słowackie, świadczące o jego dalszem kształceniu się. Najwięcej umysł jego zaprząta *perpetuum mobile*, nad czem pracuje w wolnych chwilach. Pokazywał mi też oryginalny model



Samouk-wynalazca: Ignacy Gajniak, włościanin z Jabłonki na Orawie.

przyszłej maszyny, świadczący o dużym sprycie Gajniaka. Po krótkiej pogawędce zaprowadził nas do sąsiedniej, wielkiej izby, gdzie stała fisharmonia jego własnej konstrukcyi, w kształcie dużej szafy. Mistrz usiadł na nasze prośby i zaczął wygrywać z pamięci piosnki ludowe, a grał wiernie i z wielkiem przejęciem.

Gajniak jest w sile wieku, gdyż liczy lat 43. Jest całą duszą Polakiem i jedną z najpopularniejszych osobistości na Orawie, jest przy tem skromny, szczery i otwarty. Głównym środkiem utrzymania jest jego przemysł, rzadko też bawi w domu, gospodarstwo zaś całe prowadzi jego małżonka.



Skauci-strażacy: Uczestnicy kursu pożarniczego dla skautów we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

I

Doktor Burger wrócił właśnie z przechadzki po mieście i przeglądał pisma w swoim gabinecie w hotelu Hamburgskim, kiedy czytanie przerwane mu zostało dyskretnem, ale gwałtownem pukaniem do drzwi.

— Proszę!

W otwartych drzwiach stanął zadyszany od prędkiego biegu kelner pokojowy.

— Cóż tam nowego? — zapytał doktor.

— W tej chwili właśnie wezwano pana doktora do telefonu — wydobywał z siebie kelner urywane słowa, nie mogąc złapać oddechu po szybkim biegu.

— Do telefonu? Ach tak!

Doktor Burger udał się niezwłocznie na dół i po minucie stał już przy aparacie.

— Tu kapitan Nieman z „Królowej Ludwiki". Doktorze, śmiem zapytać pana, czy ma pan wszystko do drogi przygotowane?

— Owszem, panie kapitanie.

— Czy nie ma pan na jutro zapowiedzianych jakich ważnych wizyt?

— Nie, nie mam, o ile pamiętam. Dlaczego?

— Z ważnych, a pilnych powodów, o których nie mogę teraz szeroko panu opowiadać, muszę podnieść kotwicę nie 4 sierpnia, ale już trzeciego, a więc jutro rano. Kilku pasażerów, którzy będą podróżowali na moim statku, są już o tem zawiadomieni i zgodzili się na wcześniejszy termin. Wyświadczyłby mi pan wielką grzeczność, gdyby i pan zechciał także przyspieszyć swój wyjazd.

— Zrobię to bardzo chętnie, panie kapitanie. Przeciwnie, wcześniejszy odjazd odpowiada w zupełności moim intencyom. Nie mam w tej chwili nic innego do roboty, jak właśnie wyczekiwać na odjazd pańskiego okrętu.

— Dziękuję panu, doktorze i proszę, aby pan jutro o godzinie ósmej rano był już na statku.

— Stawię się punktualnie.

— Dobranoc, doktorze!

— Dobranoc, kapitanie!

Doktor Burger powrócił do swego pokoju. Przez kilka chwil zastanawiał się nad swoją telefoniczną rozmową. Co mogło spowodować kapitana Niemana, że zmienił tak nagle swój pierwotny rozkład jazdy? Sam kapitan oznaczył powody te jako pilne i w rzeczywistości musiało to być coś nagłego, gdyż tego rodzaju wypadki zdarzają się tylko wyjątkowo w kronikach żeglarskich. Spóźnienia, o! te są na porządku dziennym i nawet łatwo je można wytłomaczyć, ale taki wypadek, jak obecny... ale co go to właściwie obchodzi. Ostatecznie kapitan, który jest jego dobrym znajomym, opowie mu całą sprawę w stosownym czasie.

Przez szereg lat spełniał dr. Burger obowiązki lekarza okrętowego i przez rok między innymi praktykował na parowcu, na którym obecny kapitan pełnił obowiązki sternika. Dlatego też zdecydował się teraz, aby wsiąść na „Królową Ludwikę", zamiast użyć do podróży szybszego i eleganckiego okrętu pocztowego. Spotkali się obaj przypadkowo w kawiarni, i wtedy doktor opowiedział kapitanowi, że ma zamiar wybrać się do Liverpoolu. W odpowiedzi na to, ofiarował mu kapitan miejsce na swoim statku, który wyruszał w podróż czwartego sierpnia.

Wprawdzie „Królowa Ludwika" była tylko zwykłym transportowcem, ale kapitan zabierał chętnie pasażerów, o ile ich tylko mógł zdobyć. Wielki parowiec nie dawał co prawda swym pasażerom tego zbytku, jaki zwykle bywa na parowcach pocztowych, pełnych salonów, o szybkiej podwójnej śrubie, ale w każdym razie kajuty były dostatecznie wygodnie wyposażone, a w cenach znacznie tańsze aniżeli się płaci na wielkich okrętach. Pasażerów międzypokładowych zupełnie nie przyjmowano, również nie było rozróżnienia między pasażerami pierwszej i drugiej klasy. Przez to jednak, jak tłomaczył kapitan Nieman doktorowi, pobyt na statku stawał się bardzo przyjemny i familiarny, a tem samem podróż do Liverpoolu stawała się wcale znośna.

Na drugi dzień doktor wstał dosyć wcześnie. Zatrzymały go jednak w ostatniej chwili sprawdzania rachunku hotelowego, tak, iż kiedy trzeba było już wyruszyć do przystani, aby się nie spóźnić, zatrzymał pustego fiakra, który miał go zawieść do portu.

Dorożkarz wstrzymał konie i doktor chciał właśnie wsiąść, gdy z drugiej strony ulicy nadbiegła jakaś młoda dama, prawie bez tchu i zatrzymała się po przeciwnej stronie dorożki.

— Do portu, dorożkarzu — zawołała melodyjnym głosem, bardzo mile brzmiącym.

— Przepraszam — odpowiedział dorożkarz, wskazując na doktora, który stał z drugiej strony dorożki.

Doktór, który właśnie wsiadł do pojazdu, zajął szybko miejsce, wychylił się do młodej damy i tłomaczył:

— Gdyby nie fakt, iż ogromnie się spieszę, odstąpiłbym pani chętnie dorożkę. Ale mój statek odchodzi za kilka chwil, muszę więc spieszyć do portu!

— Tam i ja także dążyłam — odpowiedziała nieznajoma, cofając się cokolwiek. — Mój parowiec „Królowa Ludwika" wypływa o ósmej na pełne morze.

— Ach! pani ma płynąć na „Królowej Ludwice"? — zawołał doktór zdziwiony. — Ja także jadę tym samym okrętem, proszę pani! Mamy więc wspólny cel podróży. Czy mogę pani wobec tego ofiarować miejsce w mojej dorożce?

— Owszem, z wdzięcznością propozycyę pana przyjmuję.

Podał jej rękę, pomagając wsiąść do powozu. Wskoczyła lekko i zgrabnie i usiadła naprzeciw niego. Doktór zamknął drzwiczki i powóz ruszył.

— Pani zapewne rzeczy ma już na pokładzie? — dopytywał się doktór.

— Dziękuję, tak!

Dalsza rozmowa została przerwana hałasem panującym na ulicach oraz turkotem, jaki sprawiał ich własny powóz, mimo iż ochota do jej prowadzenia była w każdym razie po stronie doktora. Młoda dama zwróciła głowę ku oknu i wydawała się bardzo głęboko zamyślona. Doktór, który byłby chętnie nawiązał bliższą znajomość, zadowolił się tem, iż uważnie zaczął obserwować swoje niespodziewane vis à vis. Obecność tej damy sprawiała mu wewnętrzną przyjemność, czego przed sobą wcale nie ukrywał. Jak sprawdził w pamięci, nie była mu ona całkiem obcą. Widział ją wczoraj w hotelu przy stole. Mieszkała w tym samym co on, hotelu. Już wczoraj obserwował ją, podziwiając jej urodę i zastanawiając się nad tem, dlaczego patrzy na świat tak poważnymi i smutnymi oczyma. A przecież były to piękne, głębokie, pełne duszy oczy, które ocieniała para miękkich jedwabistych rzęs, jakby delikatna zasłona. Wyglądały one jak okienka, świecące w blasku promieni słonecznych, których jasność, tłumiona przez delikatne firanki, zamieniła się w łagodne i miłe światło. Błyszczeć i świecić umiały te czarne dyamenty; gorzał w nich ogień, który tkwił w głębi duszy właścicielki. Robert widział wczoraj jak zapłonęły jasnym blaskiem, kiedy podczas obiadu kelner przyniósł jej list, którego treść zawierała jakąś bardzo dla niej ważną wiadomość.

A jednak delikatna, biała twarzyczka była pełna raczej bólu i poddania się. Wyraz jej przypominał madonnę, a właśnie jedną z tych przepięknych nowicyuszek, jakie malarze rzucają na płótno, gdy przedstawiają chwilę, w której one przestępują po raz pierwszy próg klasztoru.

— Tyle miłości i wdzięku i tak wiele ognia i temperamentu — myślał Robert — wskazuje na istnienie wielkiej namiętności. Charakter nieugięty w połączeniu z delikatną, jak mimoza duszyczką, która nawet na codzień przybiera się w pozory dumnego spokoju i poważnej godności.

Bogate włosy były widocznie tą samą barwą barwione, co oczy; postawę miała majestatyczną, wysoką i smukłą, o pełnych kształtach. Wszystkie te szczegóły tłomaczyły fakt, iż robiła nadzwyczajne wrażenie, nawet na młodym lekarzu, który dla wdzięków kobiecych dotychczas nie był bardzo przystępny.

— Po kim nosi żałobę? — filozofował doktor w duszy, obrzucając spojrzeniem pełnem gorącego współczucia jej czarną suknię, prostą i bez ozdób, otulającą jej zgrabną postać. — Czy po matce, czy też po ojcu? Toby tłomaczyło ponury, chwilami nawet bolesny wyraz jej spojrzeń, a nawet pewien nerwowy niepokój i pośpiech, który już wczoraj u niej zauważył. A może była mężatką i opłakiwała ukochane dziecko, albo nawet męża?

Spojrzenia jego powoli przesuwały się po jej postaci. Ręce obserwowanej ukryte były w czarnych rękawiczkach koronkowych, tak iż nie mógł stwierdzić, czy ma obrączkę czy nie. Nie wydawała mu się zbyt młoda. Piękność jej robiła wrażenie rozkwitłej już róży, nie był to wdzięk pączka, gdyż wszystko było doskonałe. Robert z zawodu przyzwyczajony do oceniania ludzi i ich wieku, określił w myśli, iż liczyć może mniej więcej 25 lat.

Doszedłszy do tego punktu swych mimowolnych badań, odwrócił się Robert, poirytowany. Co właściwie ta obca kobieta go obchodziła? Dlaczego zajmował go jej wygląd i jej stosunki? Prawdopodobnie była już dawno mężatką i być może, że jechała do męża i rodziny. Wprawdzie on miał dopiero trzydzieści cztery lat. Myśl o stworzeniu własnego ogniska domowego prześladowała go od pewnego czasu coraz uporczywiej i zmieniła go, człowieka pełnego oddania się i poświęcenia dla swego zawodu i zamiarów, w marzyciela, pełnego sentymentów!

Ubodło go trochę, że ona ani razu nie spojrzała na niego, jak gdyby nie uznawała go godnym takiego zaszczytu. Mimowoli w jego sercu obudziły się refleksye, które kazały mu wytworzyć sobie własny swój obraz w nieszczególnych barwach. Wydał się sobie nagle bardzo starym i niepozornym. Przesadził wprawdzie na swą niekorzyść, jak to zwykle się w takich razach dzieje. Nie można go było, coprawda, uważać za typ piękności męskiej, nie miał ani imponującej postawy, ani też rysy jego twarzy nie odznaczały się owymi specyalnymi cechami, które działają fascynująco na kobiety. Nie miał w swym wyglądzie nic uderzającego, przeciwnie twarz jego, była to spokojna, poważna twarz uczonego, z uśmiechem dobrotliwym i łagodnym, zachowanie się zrównoważone, wszystkie bardzo chwalebne cnoty, ale nic z tego, co zwykło porywać serce kobiety. Ma się rozumieć, nie wiedział o tem, że kiedy mówił z głębokiego przekonania, w oczach jego przebijała się cała głębokość i szlachetność zacnej duszy.

Dojechali do portu; po chwili dorożka zatrzymała się u pomostu, prowadzącego na pokład zgrabnego parowca. Robert wyskoczył i podał swej towarzyszce rękę, ona jednak wysiadła nie dotykając jej. Jednym skokiem znalazła się obok niego i oświadczyła z uśmiechem:

— Jeszcze raz serdecznie dziękuję, mój panie. Pan pozwoli, iż zapłacę połowę należytości za dorożkę.

Robert chciał przeciw temu protestować, ale dumne spojrzenie czarnych oczu przekonało go, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. Właśnie zwrócili się oboje, aby podążyć ku pomostowi, oddalonemu o kilka kroków, kiedy z daleka nadjechała jeszcze jedna dorożka w pełnym galopie.

— Jeszcze jeden pasażer, który się... spóźnił — chciał dokończyć zdania doktor, ale urwał w pół słowa, gdyż w tej chwili spostrzegł, że piękna twarz jego towarzyszki podróży pokryła się nagle trupią bladością. Czarne oczy nieznajomej wpiły się z wyrazem strasznego napięcia w zatrzymującą się właśnie dorożkę. Stan taki trwał jednak tylko jeden moment, jedno spojrzenie uspokoiło ją i szybko podążyła przez pomost na okręt, nie oglądając się zupełnie na lekarza.

Zdziwiony oryginalnem zachowaniem się nieznajomej, doktor spojrzał w kierunku jej wzroku. Czy oczekiwała ona jeszcze kogo, czy też obawiała się, aby ktoś niespodziewanie nie nadszedł? Jakie wogóle znaczenie miała ta nagła reakcya duchowa? W każdym razie to było pewnem, że jeśli obawiała się czekokolwiek ze strony nowego podróżnego, który właśnie nadjeżdżał, to w chwili, kiedy go ujrzała; wszelkie obawy znikły. Wysiadający z dorożki był małym, starszym panem, którego twarz zdobiła szpakowata broda, oraz przyjemnie błyszczące oczy; głowę nosił trochę wprzód pochyloną. W sympatycznem jego spojrzeniu odmalowała się wyraźna niepewność, kiedy wysiadł z powozu. Szybko zbliżył się do doktora i zaczął się dopytywać, czy stojący przed nimi okręt jest „Królową Ludwiką".

Robert potwierdził.

— Dzięki Bogu, przybyłem na czas. Nie mam jeszcze zamówionego miejsca — objaśniał stary pan bardzo energicznie. — Przypuszczałem bowiem, że okręt odpływa dopiero jutro rano.

Z większą szybkością, niżby przypuszczać było można wobec jego białych włosów, podreptał przez pomost i począł rozpytywać marynarza, stojącego na straży przy pomoście, o kapitana.

— Tam stoi sam — wskazał zapytany ręką z szerokim gestem, w kierunku górnego końca pokładu, gdzie obok schodów, prowadzących na dół, stał kapitan, w swym uniformie i rozmawiał z młodą damą.

Stary pan wspiął się szybko po schodach, rzucił ciekawe spojrzenie na młodą kobietę, która właśnie szybko się oddalała, poczem przedstawił kapitanowi swoje życzenia.

— Dokąd pan chce jechać? — rozpytywał się kapitan Nieman.

— Mam różne interesy w Calais i w Cherburgu — odpowiedział staruszek, z ożywieniem wymachując rękami.

— Przykro mi bardzo, ale muszę wyjaśnić, że zatrzymuję się w Rotterdamie i Cherburgu.

Starowina pomyślał chwilę.

— Wszystko jedno — to i tak da się zrobić. Czy ma pan jeszcze miejsce, kapitanie?

— Więcej niż potrzeba. Czy pan podróżuje za interesami handlowymi?

— Właściwie nie. W rzeczywistości są to czysto prywatne sprawy.

— Dobrze, proszę więc zgłosić się do mojego zarządcy okrętowego i z nim resztę omówić.

Podróżny odwrócił się, uchylając kapelusza. Po dwóch krokach zatrzymał się jednak i jakby przypomniawszy sobie coś, zwrócił się ponownie do kapitana.

— A propos, panie kapitanie — ta młoda dama — czy nie pochodzi ona z Hamburga? Wydała mi się bardzo dobrze znaną.

— Jest to panna Firnau, więcej nic o niej nie wiem.

— Panna Firnau? — Mały człowieczek potrząsnął głową. — Nie znam tego nazwiska. Prawdopodobnie tylko podobieństwo.

— Możliwe.

— Jest jednak bardzo ładna.

— Prawdziwa ozdoba mojego okrętu — przyświadczył kapitan, roześmiawszy się. — Ah, otóż i mój kochany doktor?!

Z temi słowy zwrócił się do doktora Burgera, który właśnie nadszedł, uchwycił serdecznie podaną dłoń i potrząsnął nią energicznie.

— Gorąco dziękuję za pośpiech, z jakim pan zastosował się do mojego życzenia. Nagrodę znajdzie pan w tem, że pan sam będzie z tego zadowolony.

— Jakto kapitanie? — zapytał Robert zdziwiony.

Kapitan obejrzał się, aby się upewnić, że stary pan nie może ich słyszeć, poczem nachylił się do ucha lekarza i objaśnił szeptem:

— Panu mogę w zaufaniu otwarcie powiedzieć, kochany doktorze, dlaczego się tak spieszyłem. Wczoraj zdarzyło się w Hamburgu, jak się napewne dowiedziałem, kilka wypadków cholery. Na razie sprawa trzymana jest w tajemnicy, a bakteryologowie badają całą rzecz. Dopiero kiedy orzeczenie ich usunie wszelkie wątpliwości i stwierdzonem zostanie, że rzeczywiście zaszły wypadki cholery, będzie musiała władza zdecydować się na ogłoszenie publiczne, że zaraza w mieście*). Wtedy nietylko pewnem jest, iż nie pozwolą żadnemu okrętowi opuścić przystani, ale także i te, które wyjadą, uważane będą za podejrzane o możliwość zawleczenia cholery i poddane wszędzie, dokąd przybiją, rozlicznym szykanom kwarantanny. Tego wszystkiego uniknę, jeśli szybko odpłynę. Ma się rozumieć usuwam przez to niebezpieczeństwo, jakie nam samym grozi, gdybyśmy dłużej tutaj pozostali. Czy mam racyę?

— Zupełną! — przytaknął lekarz, nie mile zaskoczony wiadomością.

— Ma się rozumieć, niech ta rzecz pozostanie tajemnicą, ani pasażerowie, ani moi ludzie nie mogą się nic o tem dowiedzieć; inaczej niepokoiliby się niepotrzebnie.

— Ma się rozumieć.

Przyjaciele uścisnęli sobie ręce porozumiewawczo, poczem dr. Burger, głęboko zamyślony, poszedł ku swojej kajucie.

ROZDZIAŁ II.

„Królowa Ludwika“ wypłynęła istotnie na morze, tylko z półgodzinnem opóźnieniem. Robert uporządkował w kajucie swoje rzeczy, poczem wyszedł z powrotem na pokład. Tutaj, ku swemu wielkiemu zdziwieniu zastał piękną nieznajomą, siedzącą na ławce obok burty. Płaszcz i parasol leżały jeszcze obok niej, co wskazywało na to, iż zupełnie nie była jeszcze w swojej kajucie. Przelotnie spojrzała na lekarza, poczem znowu skierowała wzrok swój ku brzegowi, obserwując go bardzo pilnie z ukrytą obawą, którą napróżno usiłowała w sobie przytłumić. Dopiero kiedy okręt ruszył i usunięto ostatnie deski pomostu łączącego go z lądem, rozjaśniło się jej wejrzenie, powstała szybko i skierowała się powoli ku schodom prowadzącym w dół. Zaciekawiony patrzył Robert za nią i widział, jak powoli znikała w głębi okrętu. Wreszcie przez chwilę dojrzał jeszcze tylko jej głowę z wspaniałymi włosami, przepiętymi grzebieniem, wysadzanym dużymi świecącymi perłami, które zdawały się patrzeć na niego jak błyszczące oczy.

Doktor Burger potrząsnął głową, niezadowolony z siebie. Jako wytrawny psycholog przypuszczał, że przeniknął powody jej niezwykłego zachowania się. Wewnętrzna obawa, źle ukrywana, niepokoiła ją, groziło jej niebezpieczeństwo, które szło od lądu i odetchnęła dopiery spokojnie wtedy, kiedy została całkiem usunięta możliwość, aby ją nagle coś zaskoczyło. Czyżby piękna nieznajoma uciekała przed czem? Czy obawiała się pogoni? A może przekonanie o swej winie powodowało wszystkie te troski?

Natychmiast jednak młody lekarz odepchnął od siebie te ostatnie kombinacye. Piękna, młoda dama obudziła w nim żywe zainteresowanie. Nie znał jej



...I uważnie zaczął obserwować swoje niespodziewane vis à vis.

wprawdzie zupełnie, a jednak serce jego za nią gorąco przemawiało.

— Ona z pewnością nie ma na sumieniu nic złego — tłomaczył sobie. — A może doznała jakiejś wielkiej krzywdy, przed którą ucieka. Przecież to może być ścigana niewinność. Tak, tak, tak z pewnością nawet jest, spojrzenie jej jest za czyste, aby miało pochodzić od zbrukanej duszy, a jej płochliwość wskazuje na szczerość i naiwność serca, z jaką otwarcie przyznaje się do swych obaw, podczas gdy zbrodniarka udawałaby przynajmniej spokój i pewność siebie.

Podszedł do kapitana, który właśnie przechodził.

— Kapitanie, kto jest ta młoda dama?

— A więc i pan uległ czarowi jej pięknych oczu? — zaśmiał się kapitan Nieman. — Rumieni się pan jak uczniak, kochany doktorze? Ej, ej! Niestety nie mogę zaspokoić pana ciekawości. Zapisała się do listy pasażerów jako Irena Firnau. Na tem kończą się moje informacye.

— A więc jest niezamężna? Przy jej piękności...

— Wydaje się to panu dosyć dziwnem? Mnie także. Może jest biedna, albo też często nasze piekności bardzo przebierają.

— Dokąd jedzie?

— Do Liverpoolu. Zgłosiła się do mnie dopiero wczoraj rano.

— A może nazwisko Firnau jest tylko przybranem?

Kapitan wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Możliwe, ale na cóż by to robiła? W każdym razie mogę pana upewnić, że nie nosi ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. Widziałem wczoraj.

Otrzymawszy te wyjaśnienia, uczuł Robert zadowolenie, z którego ostatecznie nie umiał sobie zdać sprawy. Cóż go bowiem ta obca obchodziła? Dotychczas zawsze stosował w życiu zasadę, aby o rzeczy, które go nic nie obchodziły, się nie troszczyć. W duszy nosił szczytne ideały, dla których pracował i dumą jego było utrzymać się wolnym od różnych instynktów, którym ulegają przeciętni śmiertelnicy; wśród nich jako najniższy uważał ciekawość.

Niezadowolony z siebie, postanowił zwrócić uwagę na resztę towarzyszy podróży. Może wśród nich znajdzie kogoś, kto bardziej wart będzie jego zainteresowania, niż owa obca dama, która tylko zewnętrznymi wdziękami na niego oddziaływała.

Wnet jednak przekonał się, że duchowy poziom osób, zamieszczonych na liście pasażerskiej, był na ogół bardzo niski. Oprócz owego starego pana, który wsiadł w ostatniej chwili na okręt, zainteresował go tylko pewien młody adwokat ze Szwajcaryi dr. Ammarel i jakiś kupiec z żoną i córką. Resztę niewielkiej grupki podróżnych stanowiły dwie bardzo liczne rodziny angielskie, które wracały do ojczyzny; sztywne ich zachowanie się wpłynęło tak ujemnie na Roberta, iż wykreślił ich zupełnie ze swego programu podróży.

Najszybciej zaznajomił się z doktorem Ammarellem. Znalazł w nim człowieka o szerokich i bystrych poglądach, który, korzystając z wakacyi płynął do Anglii, aby odwiedzić swego dawnego kolegę szkolnego. Z postawy wysoki i smukły, miał twarz szczupłą, trochę czworograniastą, z brodą dosyć ostro zakończoną. Nie mógł uchodzić za bardzo pięknego, ale miał ciemne oczy, które działały. W spojrzeniu ich odzwierciadlał się żywy temperament i ostry, spostrzegawczy umysł, przez co wyraz ich działał przekonywująco, zastępując tem harmonijne linie męzkiej piękności.

Mały, stary pan, emeryt Gelbke z Hamburga, okazał się bardzo ruchliwym i uprzejmym. Jeśli ktoś na niego spojrzał, uśmiechał się przyjaźnie, odczuwał widocznie silną potrzebę towarzyskiego pożycia. Zwracał się to do tego, to do owego, zagadywał — nawet ową młodą damę usiłował wciągnąć w rozmowę, otrzymał jednak tylko kilka, bardzo krótkich odpowiedzi. Robił wrażenie wielkiego przyjaciela dzieci, zapoznał się bowiem zaraz z dziećmi angielskich rodzin, które jednak trzymały się od niego dosyć z daleka.

Irena Firnau przebywała bardzo mało na pokładzie. Zaledwie w czasie obiadu mógł Robert kilka słów z nią zamienić, jako ze swą sąsiadką przy stole. Tak upłynęła większa część dnia, okręt znajdował się już daleko na morzu, a nasz lekarz rozkoszował się ciepłym wietrzykiem, który wiał ku okrętowi od niezmierzonych obszarów wód. Nagle uczuł, że ktoś go chwyta za ramię. Odwrócił się. Przed nim stał kapitan, który milcząco wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

Zatroskana, prawie gniewna mina marynarza uderzyła młodego lekarza. Zapytał też, czy może grozi wielka burza?

Nieman potrząsnął głową.

— Toby przecież nic nie było nadzwyczajnego — mruknął. — Z niewielkiej burzy nic sobie nie robię — przyczem pogardliwie machnął ręką. — Co innego się stało doktorze, dodał prawie szeptem. — Mecenas Ammarell zachorował nagle w swej kajucie.

— Pan Ammarell? przecież pół godziny temu rozmawiałem jeszcze z nim. Był w doskonałym humorze.

Ciąg dalszy nastąpi.

*) W r. 1892 wybuchła w Hamburgu cholera, w czasie której zachorowało 16956 osób, a umarło 8605.

Wystawa 63 roku.

Przed kilkunastu dniami otwarta została we Lwowie wystawa pamiątek r. 1863. Cyfra ta, przytoczona jako stygmat wystawy, mówi już sama za siebie. Zbyt świeża rana, jeszcze nie zabliźniona, zbyt bolesny rok, którego pamięć żyje w narodzie nie jako tradycya pokoleń, ale jako pamiątka przeżytych dni przez tych, którzy wśród nas żyją i pracują. To też wystawa ta, to karta z historyi naszego narodu, która zbyt serdecznie i ciepło przemawia do duszy.



Wystawa 63 roku: Medalion z Matką Boską, ulepiony z chleba przez powstańca w więzieniu syberyjskiem.

Na ścianach sal wystawowych zawisły smutne pamiątki łez, krwi i tortur. Znalazły się wierne obrazy owych usiłowań, kiedy szliśmy na bagnety z gołemi rękami.

Właściwą jej treścią to nie wspaniałe mundury, groźne armaty lub dumne sztandary, ale liche dubeltówki, pistolety i szable, poszczerbione i zardzewiałe. One najwierniej odtwarzają, jak walczono w r. 1863 i czemu tyle ofiar padło.



Wystawa 63 roku: Figura powstańca, ulepiona z czarnego chleba przez więźnia 63 r. na Syberyi.

Skrwawione koszule, pocięte szablami komże, podziurawione od kul świtki i sztandary, a wśród tego drogie, łzami oblane pamiątki, kajdany, żelazne pierścionki, oto obfity zbiór, zgromadzony w szeregu sal.

Wystawę tę ogląda się z mimowolnie ściśniętem sercem. Tyle krwi, tyle ofiar, tyle serdecznego bólu narodu zawarto na kilku szarych ścianach. Zdaje się, jakby z tych nikłych kart i podobizn przemawiały usta bohaterów, którzy chcieliby swe idee widzieć dziś równie czczone i kochane, jak były wtedy, kiedy oni ginęli.



Wystawa 63 roku: Komitet wystawy.



Wystawa 63 roku: Sala z fotografiami powstańców poległych lub straconych. U góry sztandary polskie z r. 63.



Wystawa 63 roku: Sztandary i broń powstańców.

Kronika tygodniowa.

Właściwie więc skończyły się wybory do sejmu galicyjskiego, w chwili bowiem, gdy to piszę, jedynie jeszcze wielka własność nie jest załatwiona. Te wybory nie budzą zresztą interesu, tutaj załatwia się wszystko familiarnie, bez agitacyi i kiełbasy wyborczej, bo to nie w dobrym tonie.

O wyścigach do fotelika poselskiego, czyli wyborach do sejmu z kuryi wiejskiej, już pisałem w poprzedniej kronice, konstatując porażkę partyi pana Stapińskiego, a zwycięstwo endecyi i Związku chrześcijańsko-społecznego.

Ubolewałem też, że Rusini skorzystali z walki między polskiemi stronnictwami i drapnęli nam z przed nosa dziesięć mandatów, Starorusinom zaś dwa, żal mój jednak był już poniewczasie, nic też nie pomógł. Powinniśmy z tego wyciągnąć odpowiednie konsekwencye i naukę na przyszłość.

Więcej zainteresowania obudziły wybory z miast, głównie naturalnie z Krakowa, jako nam najbliższego.

Powszechnie wiadomem było, że miarodajne sfery krakowskiej demokracyi zamianowały swych posłów i wszelkiemi siłami pomagały im przy zdobyciu mandatu, nie było przecież wykluczonem, że może nas spotkać niespodzianka. Dużo szans zwycięstwa miał towarzysz Ignacy, endecka opozycya zdobyła więcej głosów, niż nawet myślała. To też, zwłaszcza ku wieczorowi, hyeny wyborcze pracowały z wytężeniem, komisye wyborcze czuwały pilnie, aby żaden nieboszczyk nie spóźnił się do urny.

Nie brakło też momentów wesołych, ale nie brakło i wzruszających.

Do rzędu pierwszych należało następujące zdarzenie.

Przy urnie wyborczej zjawia się jakiś młody izraelita i podaje legitymacyę.

Przewodniczący ogląda ją i odczytuje nazwisko, dajmy na to Salzstangel Mojżesz...

Na to odzywa się jeden z członków komisyi:

— Proszę panów, pan Mojżesz Salzstangel umarł przed trzema laty...

A głosujący na to:

— Co pan powiada?... Umarł?... Biedny człowiek! Ja dotąd nic o tem nie wiedziałem!

— A jak się pan nazywa?

— Leib Quadratstein!

— Tak?... To jak pan śmie głosować za nieboszczyka?

— Nu?... On przeci sam nie może przychodzycz, skoro umarł!

— Nie wolno! Naraża się pan na odpowiedzialność karną! A na kogo pan głosuje?

— Jakto na kogo?... Leo, Bandrowski, Federowicz, Srokowski!

— W takim razie wszystko w porządku! Proszę, niech pan spełni obywatelski obowiązek...

— Proszę pana radcego, ja mam jeszcze parę kilki legitymacyi! Oni wszyscy już umarli, więc nie mogli sami przychodzycz!...

— Jeśli to tylko lojalni obywatele, to nie odmówię im prawa oddania głosu!

— To są same echt krakowskie demokraty!

— No, to jazda!... Szkoda czasu!

A teraz moment wzruszający.

Przed bramą magistratu kupa ludzi, między nimi młodzieniec mojżeszowego wyznania, mogący mieć co najwyżej piętnaście lat, więc w żadnym wypadku nie mający prawa głosowania, nawet w zastępstwie nieboszczyka.

Nadchodzi władza bezpieczeństwa i wzywa do rozejścia się. Wszyscy są posłuszni, tylko ów młody człowiek nic sobie nie robi z wezwania, ale pcha się dalej ku samym drzwiom.

— Pan głosuje? — pyta go ktoś ciekawy.

— Ni!... — odpowiada spokojnie.

— To dlaczego się pan pcha?

— Proszę pana, ja tu potrzebowałem przychodzycz, aby się zobaczyć z moim dziadziem. On umarł przed pięciu laty, a teraz poszedł głosować. Żeby pan wiedział, jak on się zmienił przez ten czas. Ja jemu nie mogłem poznać nawet!

I otarł rękawem łzę, która cisnęła się z pod powieki!

Ruch wyborców był na ogół dość słaby, do głosowania nie zgłosiło się nawet pięćdziesiąt procent uprawnionych. Jedni tłumaczyli się tem, że choćby nawet poszli do urny, to kandydat ich i tak przepadnie, inni twierdzili słusznie, iż nie opłaci się fatygować, bo i bez ich pomocy wybiorą tego, kogo zamianowano.

Wieczorem miał być fakelzug na cześć nowowybranych posłów, nie odbył się jednak, nie wiem, dlaczego, wyborcy i kandydaci illuminowali się natomiast w różnych lokalach wyborczych, głównie u Hawełki, gdzie w dniu tym uroczystym pękło o trzy tysiące siedmset osiemdziesiąt bomb więcej, niż zazwyczaj.

W innych piwodajniach było także więcej spragnionych, niż zwykle, miejskie biuro statystyczne pracuje nad sporządzeniem odpowiednich wykazów.

Mój przyjaciel polityczny, pan Władysław z handlu „pod Obrazem", gdym go zapytał, jak się zapatruje na kwestyę wyborów, machnął tylko ręką pogardliwie, splunął w kąt i rzekł.

— Niech szlag trafi! Ledwie łażę!...

Wybory z Izby handlowej odbyły się w kilka dni później we wzorowym porządku. Przed południem złożył dotychczasowy poseł, p. wiceprezydent Sare, sprawozdanie ze swej działalności, popołudniu wybrano go jednogłośnie posłem.

I tu obeszło się bez kiełbasy wyborczej. Gdyby ktoś kiedyś zainterpelował pana namiestnika w sprawie czystości galicyjskich wyborów, może powołać się z dumą na tę właśnie kuryę.

Pozostają jeszcze wybory z wielkiej własności, niestety, mało tutaj wyborców, choć stosunkowo dużo posłów się wybiera. Ja posiadam wprawdzie dobra na księżycu, niestety wyborów tam się nie urządza, o kuryach, albo o reformie wyborczej nikomu się ani nie śniło.

W czasie tegorocznych wyborów wprowadzono pewną modyfikacyę, odbiegającą od dotychczasowego szablonu. Dotąd miała prawo obywatelstwa kiełbasa wyborcza, obecnie miejsce jej zajął gulasz wyborczy, podobno bardziej strawny. Dodano do niego odpowiednią ilość papryki, co podziałało podniecająco i na wyborców i na hyeny, a o to właśnie chodziło.

W ten więc sposób zamykamy rozdział dziejów naszego kraju, traktujący o wyborach i czekamy cierpliwie na obiecaną reformę, która podobno ujrzy światło dzienne, napewno... za lat pięć, albo i sześć. Dodajmy „jeżeli naturalnie nic nie stanie na przeszkodzie".

Dodatkiem do komedyi wyborczej był ponowny wybór szóstego posła ze Lwowa. Do walki stanął narodowy demokrata, dr. Grabski i postępowy demokrata, dr. Lisiewicz.

Zapasy obu kandydatów obudziły daleko większe zainteresowanie, niż nawet mocowania braci Cyganiewiczów z Lurichem i Binningiem, obie bowiem strony dokładały wszelkich sił, aby szalę zwycięstwa przechylić na swą stronę. Ostatecznie poszczęściło się Lisiewiczowi, który położył Grabskiego na obie narodowo-demokratyczne łopatki i zdobył galicyjski szampionat sejmowy.

Agitacya była ożywiona, kiełbasy wyborczej zjedzono o pół kilometra więcej, niż podczas kiedysiejszego wyboru pięciu posłów.

W dniu 8 lipca odbywają się wybory z kuryi większej własności. Jak już wspomniałem, nie należy spodziewać się nadzwyczajności, przejdą bowiem wszędzie dotychczasowi posłowie z wyjątkiem może kilku, których miejsca zajmą konserwatyści, których nie udało się przepchać w kuryi wiejskiej. Miejsce kiełbasy zajmuje dziś szampan, hyeny zupełnie niepotrzebne.

Podczas, gdy u nas wrzała na całej linii walka wyborcza, bracia Słowianie południowi, dzieląc się europejskimi strzępami płaszcza proroka, wzięli się za łby i to nie na żarty.

Z jednej strony stanęła Bułgarya, której zarzucają, że na Bałkanie chce odegrać rolę Prus, z drugiej Serbia i Grecya. Król Nykita czarnogórski siedzi cicho, kolega Karol rumuński natomiast spodziewa się, że przy tym ogniu upiecze dla siebie pieczeń i to nie byle jaką.

Oficyalnie donoszą, że walka dotąd nie wybuchła, to jest, że urzędownie nie została wypowiedzianą, tymczasem od kilku dni czytamy o nadprogramowych utarczkach, które pociągnęły za sobą już tysiące ofiar w ludziach.

Wedle źródeł bułgarskich Serbowie i Grecy, zwłaszcza ci pierwsi, wzięli porządnie po skórze, z Belgradu telegrafują, a Ateny potwierdzają, że Bułgarzy ponieśli kolosalne straty.

Ja na razie nie wierzę ani jednym, ani drugim, choć ostatecznie nie miałbym nic przeciw temu, gdyby obie walczące strony odegrały rolę owych Radziwiłłowskich myszy, które się nawzajem zjadły, tak że zostały tylko dwa ogony...

Bułgarzy pobiją Serbów i Greków, ci znów załatwią się z Bułgarami, a wówczas Europa zabierze się do pozostałych ogonów i zrobi z nimi porządek. Będzie to pierwsza interwencya mocarstw, która się powinna udać.

Na ogon bułgarski mają apetyt Rumuni, ze serbskiego chciałby hr. Berchtold wykroić dla Austryi bodajby Sandżak nowobazarski, ba, nawet i Turcya, wiedząc, że jej pogromcy są w kłopotach, zaczyna się upominać o rekompensatę za ból i strach, jakie dotąd przeżyła. A jeśli komu, to jej chyba słusznie się to należy.

Stoimy więc wobec nowych zawikłań, które, mogą za sobą pociągnąć zepsucie równowagi europejskiej i pogorszenie sytuacyi, choć ona się dotąd jeszcze nie poprawiła. Jedynie zadowoleni są dziennikarze, w sezonie ogórkowym rzadko się przytrafiają tego rodzaju gratki, o których możnaby pisać *per longum et latum*.

Choć właściwie, jak przynajmniej dotąd, o sezonie ogórkowym nie słychać. Z powodu zimna i deszczu ogórki się nie udały, sprzedają je na targu na wagę złota (podobno na karaty...), więc nie każdy może sobie na taki zbytek pozwolić!

Mizeryi natomiast jest dość, ale nie ogórkowej, lecz kieszeniowej.

Najgorzej wyszli ci, którzy uwierzyli naszym meteorologom, że tegoroczne lato będzie suche i gorące i wybrali się na willegiaturę. Nawet Medard zawiódł. Choć w dniu tym była pogoda, odtąd ustawicznie pada i wieje. Jeden z mych znajomych, który bawi w Zakopanem, zdarł już cztery pary kaloszy i trzy parasole!

Cieszą się natomiast ci, którzy otrzymali urlop na wrzesień lub październik, kto wie, bowiem, czy lato nie przypadnie właśnie na te miesiące.

W miarę tego, jak uzdrowiska i letniska świecą pustkami, różnego rodzaju przedsiębiorcy, karmiący i pojący kuracyuszów, widząc w perspektywie deficyt, a oni tego strasznie nie lubią, w odpowiedni sposób śrubują ceny, a równocześnie zmniejszają rozmiary porcyi, aby bodaj w części odbić ewentualne straty. Nic też dziwnego, że każdy list ze świeżego powietrza, to istne treny Jeremiasza.

Zimno, deszcz, drożyzna, te trzy słowa powtarzają się w każdym we wszystkich liczbach i przypadkach.

I dziś dopiero czuję się szczęśliwym, że nie wyjechałem z Krakowa. Tu mam bodaj w czasie deszczu trotoary, a zamiast parasola Sukiennice, nie boję się też śmierci głodowej, która letnikom grozi na każdym kroku! Moja czcigodna magnifika, która ważyła się onegdaj, pisze mi zrozpaczona, iż w przeciągu niespełna dwu tygodni straciła prawie siedm kilo żywej wagi. Wprawdzie waga ta nie jest bardzo czułą, znajduje się bowiem nie w aptece, ale u miejscowego rzeźnika, w każdym razie zawiadamia mnie, iż przyspieszy swój powrót, aby w Krakowie rozpocząć kuracyę tuczną.

Zdaje mi się, że wówczas ja schudnę, choć już i dziś niewiele brakuje, aby moja powłoka brzuszna przyrosła do stosu pacierzowego!

Takie to kłopoty ma człek w lecie! Gorsze one od zimowych, choć i wtedy ich nie braknie.

Gdybyśmy to mieli bodaj w Krakowie wystawę futurystów, kubistów i owalistów, jak Lwowianie! Mógłby człek przynajmniej rozweselić się i naużyć, jak się malować nie powinno! Jedyną atrakcyą, jaką może się poszczycić nasze miasto, są zapasy atletyczne, na które ogromnie gniewa się „Gazeta Poniedziałkowa", narodek zaś się na nie spieszy, ciesząc się, jeśli zwycięsko wychodzą bracia Cyganiewicze, bo to przecież nasi!...

Głosy publiczne.

Zarząd Muzeum Tatrzańskiego im. Dra T. Chałubińskiego w Zakopanem, przystępując do budowy gmachu dla Muzeum, przesyła odezwę, podpisaną przez szereg wybitnych członków naszego społeczeństwa, a uzasadniającą przedsięwzięcie.

Ufni w to, że ogół zechce poprzeć usiłowania, jednocześnie proszą bądź o zapisanie się na członka założyciela (jednorazowa wkładka 400 koron), bądź na członka rzeczywistego (20 koron rocznie), bądź o dar jednorazowy w kwocie dowolnej na cele budowy, którą w tym roku jeszcze ma się doprowadzić do końca.

Adresy dla przekazów i przesyłek pieniężnych:

1) Towarzystwo Zaliczkowe w Zakopanem (rachunek Muzeum).

2) Wp. Ksawery Prauss, (skarbnik Muzeum) Tow. Szkoły im. Staszica w Zakopanem.

Zlot Sokołów we Lwowie.

Organizacya gimnastyczna „Sokołów“ rozwija się w Galicyi coraz wspanialej. Dewiza „w zdrowem ciele, zdrowy duch“ zaczyna dzisiaj w społeczeństwie zyskiwać coraz gorętszych zwolenników. Zarówno młodzież, jak i starzy garną się z zapałem do ćwiczeń fizycznych, słusznie upatrując w nich podstawę do zdrowia, zarówno osobistego, jak i całego społeczeństwa. W Galicyi nie ma też już dzisiaj miasteczka, gdzieby nie istniało gniazdo sokole. Wiele z nich, pracując po kilka lub kilkanaście lat, zagospodarowało się już, pobudowało własne domy i pracuje z wytężeniem wszystkich sił. Wiele jeszcze nie ma swego własnego przytułku, ale mimo to ochoczo dąży naprzód, nie ustając w pracy.

Celem uzyskania pewnego przeglądu sprawności oddziałów sokolich, główny zarząd urządza od czasu do czasu zloty, które obejmują bądź organizacye okręgów, bądź też całą organizacyę sokolą. Na zlotach tych przerabia się jakieś ważniejsze ćwiczenia gimnastyczne lub taktyczne, a zarazem odbywają się większe publiczne popisy gimnastyczne.

W ubiegłą niedzielę główny zarząd „Sokoła“ zwołał do Lwowa jednodniowy doraźny zlot Sokołów z całego kraju. Miał on być miarą tego, o ile Sokoli potrafią bez uprzednich przygotowań wyruszyć w drogę na rozkaz i stawić się na miejscu zbornem.

Przez całą noc z soboty na niedzielę pociągi nadzwyczajne z całego kraju zwoziły Sokołów do Lwowa. Przybyło ich przeszło dwanaście tysięcy, prócz tego około dwa tysiące skautów.



Zlot Sokołów we Lwowie: Zbiórka na boisku przed ćwiczeniami. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Pierwsze ćwiczenie o wschodzie słońca odbyły się na Zamarstynowie. Tam zgromadzili się uczestnicy zlotu i mimo deszczu, który trochę studził zapał, przeprowadzono ćwiczenia terenowe.



Zlot Sokołów we Lwowie: Formowanie oddziałów. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Po tych ćwiczeniach ruszono w uroczystym pochodzie do miasta. Na drodze, którą pochód przechodził, oczekiwały tłumy publiczności, które owacyjnie witały przybyłych na zlot Sokołów. Przeszedł on więc przez plac Gołuchowskiego, ul. Karola Ludwika, Akademicką, Zyblikiewicza, Stryjską aż na boisko Tow. Zabaw Ruchowych i „Pogoni“, gdzie rozbito obóz. Na czele pochodu jechali dowódcy na koniach, za nimi konne oddziały sokole, potem oddziały piesze, oraz skauci. Poszczególne części pochodu prowadziło sześć orkiestr.

Po południu odbyły się wielkie publiczne popisy na boisku sokolem. Najpierw wykonano ćwiczenia wspólne w czterech obrazach. Potem ćwiczyły dwa oddziały, męski i sokolic, demonstrując wzorową lekcyę gimnastyki według systemu Linga.

Zakończyły popis ćwiczenia skautów, którzy pokazali, jak się zakłada obóz skautowy, oraz jak skauci umieją chodzić po płotach, dachach, kamieniach, murach i t. p.

Wieczorem drużyny sokole rozjechały się w porządku do domów, uwożąc miłe wspomnienia pięknych chwil.

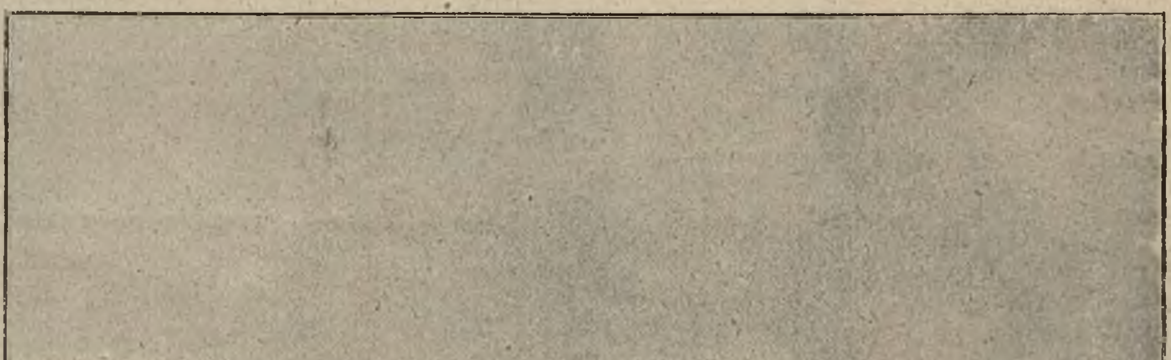
W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z przebiegu ćwiczeń zlotowych.

Trzęsienie ziemi w Bułgaryi.

Po strasznych ofiarach, jakie pochłonęła i pochłania na Bałkanach wojna, jak gdyby niedość było tego krwawego żniwa walk pomiędzy ludźmi — i martwe siły przyrody dały tam poznać swą niszczącą potęgę Silne trzęsienie ziemi nawiedziło Bułgaryę, a liczne miejscowości, zwłaszcza w okolicach Tirnowy, zostały



Wybory sejmowe w Galicyi: Dr. Al. Lisiewicz, wybrany we Lwowie przy ponownym wyborze.



Zlot Sokołów we Lwowie: Ćwiczenia. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

zupełnie zniszczone, przyczem katastrofa pochłonęła wiele ofiar w ludziach.

W miejscowości Orechowica zawaliła się fabryka cukru, grzebiąc pod gruzami przeszło 30 osób, z których



Trzęsienie ziemi w Bułgaryi: Pogrzeb ofiar katastrofy w Orechowicy.

27 znaleziono nieżywych. W samej Tirnowie zburzony został szpital, dworzec, koszary i sześć kościołów. Z gruzów wydobyto 21 zabitych i 127 ciężko rannych.

Klęska ta stanowi pewnego rodzaju niespodziankę, gdyż Bułgarya nie była jeszcze nawiedzana trzęsieniem ziemi, w każdym zaś razie objawy, jakie kiedykolwiek tam zauważano, były bardzo drobnych rozmiarów.

Illustracye nasze przedstawiają widoki zawalonych domów i pogrzeb ofiar katastrofy w Orechowicy.

Przyszła siedziba Uniwersytetu lwowskiego.

(Do illustracyi na str. 8).

Od szeregu lat wołała stolica Galicyi do rządu, aby nareszcie Wszechnicy lwowskiej wystawił odpowiednie pomieszczenie. Stary gmach uniwersytecki, będący budynkiem poklasztornym, groził ruiną, a pod względem hygienicznym stan jego był wprost rozpaczliwy. Wreszcie sama natura przyszła z pomocą. Stare mury, zjedzone zębem czasu, zaczęły rysować się i pękać, sufity zaczęły grozić zawaleniem się, tak iż wreszcie wszystkie miarodajne czynniki musiały uznać, iż dalsze zwlekanie z budową nowego gmachu narazić może na kompromitacyę.

Aby uniwersytowi dać godne pomieszczenie ogłoszony został konkurs na projekt budowy. Konkurs ten wydał plon bardzo obfity, gdyż wpłynęły 32 prac, między nimi szereg istotnie wybitnych. Rola sędziów była też bardzo trudną.

Z pośród nadesłanych prac sąd konkursowy wyróżnił sześć, z których trzem przyznał nagrody równorzędne. Są to prace architektów Tad. Obmińskiego ze Lwowa, Kazimierza Wyczyńskiego i Ludwika Wojtyczki z Krakowa, oraz architektów Adolfa Szyszko-Bohusza i Maksymiliana Burstina ze Lwowa.

Budowa nowego gmachu rozpocznie się w najbliższym czasie, tak, iż najdalej za dwa lata uniwersytet lwowski otrzyma nową siedzibę.

W dzisiejszym numerze podajemy illustracye fasad według trzech nagrodzonych projektów.

Echa katastrofy kolejowej pod Dunajowem.

(Do illustracyi na str. 2).

Ciężkim jest zawód ludzi, którzy pełniąc swe obowiązki, nie tylko dają swą uciążliwą pracę, ale często zaglądać muszą w oczy niebezpieczeństwu. Do liczby takich zawodów należy służba kolejowa, a zwłaszcza maszyniści i palacze. Katastrofy są wciąż na porządku dziennym, a ofiarami ich najczęściej padają maszyniści. Tak samo się stało i przy ostatniej katastrofie pod Dunajowem. Z pośród podróżnych 10 pasażerów doznało cięższych lub lżejszych obrażeń, nie zagrażających jednak życiu, natomiast maszynista Piotr Koriwczuk i palacz Michał Juroczko zginęli na miejscu.

Niezliczone tłumy wzięły też udział w pogrzebie, oddając ostatnią posługę tym ofiarom obowiązku.

Katastrofa kolejowa w Bośni.

W ubiegłym tygodniu była linia kolejowa Mostar—Serajewo widownią katastrofy, która, dzięki tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, nie przybrała poważniejszych rozmiarów.

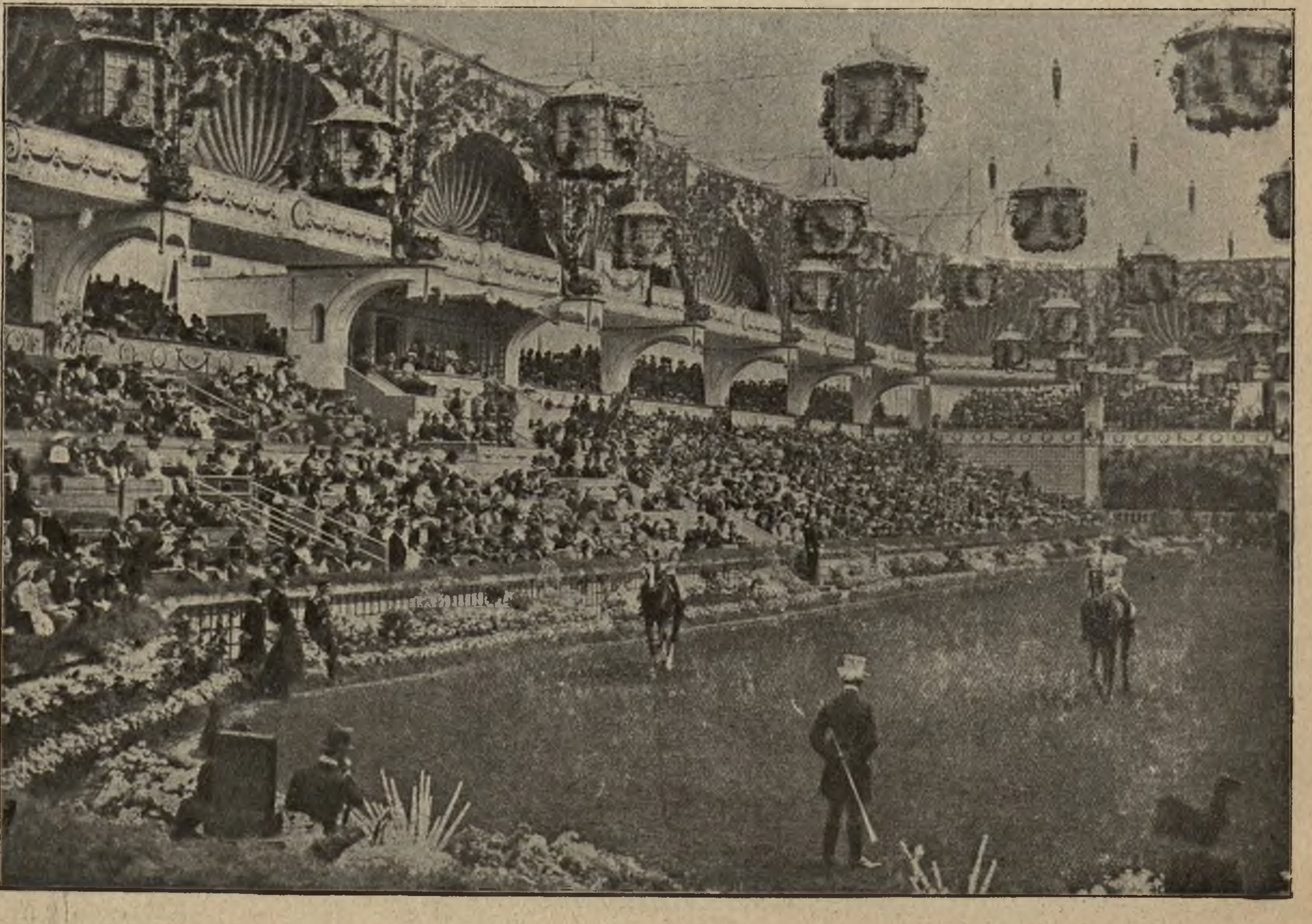
W pobliżu stacyi Prenj tor kolejowy biegnie wąską doliną Narenty po licznych mostach i wiaduktach. Obok jednego z nich urwał się ze sąsiedniej ściany ogromny blok skalny, demolując zupełnie tor kolejowy w tem miejscu.

Stało się to bezpośrednio przed przybyciem pociągu osobowego, dążącego do Serajewa około godziny drugiej w nocy, nie można też było przedsięwziąć żadnych środków zaradczych, zwłaszcza, że na stacyi o wypadku nikt nie wiedział.

Nadchodzący pociąg wykoleił się, najechawszy na niespodziewaną zaporę, lokomotywa, wóz służbowy i dwa osobowe spadły z nasypu, wysokiego w tem miejscu na 20 m do Narenty, następujący wóz osobowy zawisł szczęśliwie w powietrzu i to zmniejszyło katastrofę, której ofiarą padły dwa życia ludzkie i jedenaście osób więcej i lżej zranionych.

Na miejscu zginęli urzędnik skarbowy dr. Husa i palacz lokomotywy Bujicz.

Natychmiast po wykolejeniu zgasły wszystkie



Uroczystości francusko-angielskie w Londynie; Popisy hippiczne w cyrku „Olimpia“ w obecności prezydenta Poincarego. (Do artykułu na str. 4).



Wychowankowie internatu przy nauce.



Jadalnia.

Wzorowy internat w Tłumaczu:

światła w pociągu, ponieważ zaś niebo było zachmurzone, akcya ratunkowa była bardzo utrudnioną. Podjęto ją dopiero koło czwartej rano, gdy przybyły pociągi ratunkowe z Mostaru i Konjicy z lekarzami i materyałem opatrunkowym.

Rannych odwieziono do Serajewa i zajęto się uprzątaniem toru, tak, że normalny ruch kolejowy mógł być jeszcze tego samego dnia podjętym.

Szkoda materyalna wynosi ponad 100.000 Kor. Przed sześciu laty wydarzyła się w tem samem miejscu zupełnie podobna katastrofa.

Jubileusz polskiego księgarza na Litwie.

(Do illustracyi na stronie 10).

W tych dniach obchodził czterdziestolecie swej pracy zawodowej p. Wacław Makowski, zasłużony księgarz-wydawca w Wilnie. Był to jubileusz cichy, lecz niemniej godny zaznaczenia. Czterdzieści lat sumiennej i owocnej pracy na tak trudnej i nie usłanej bynajmniej różami placówce, to istotnie w naszych warunkach fakt, który należy podnieść z uznaniem.

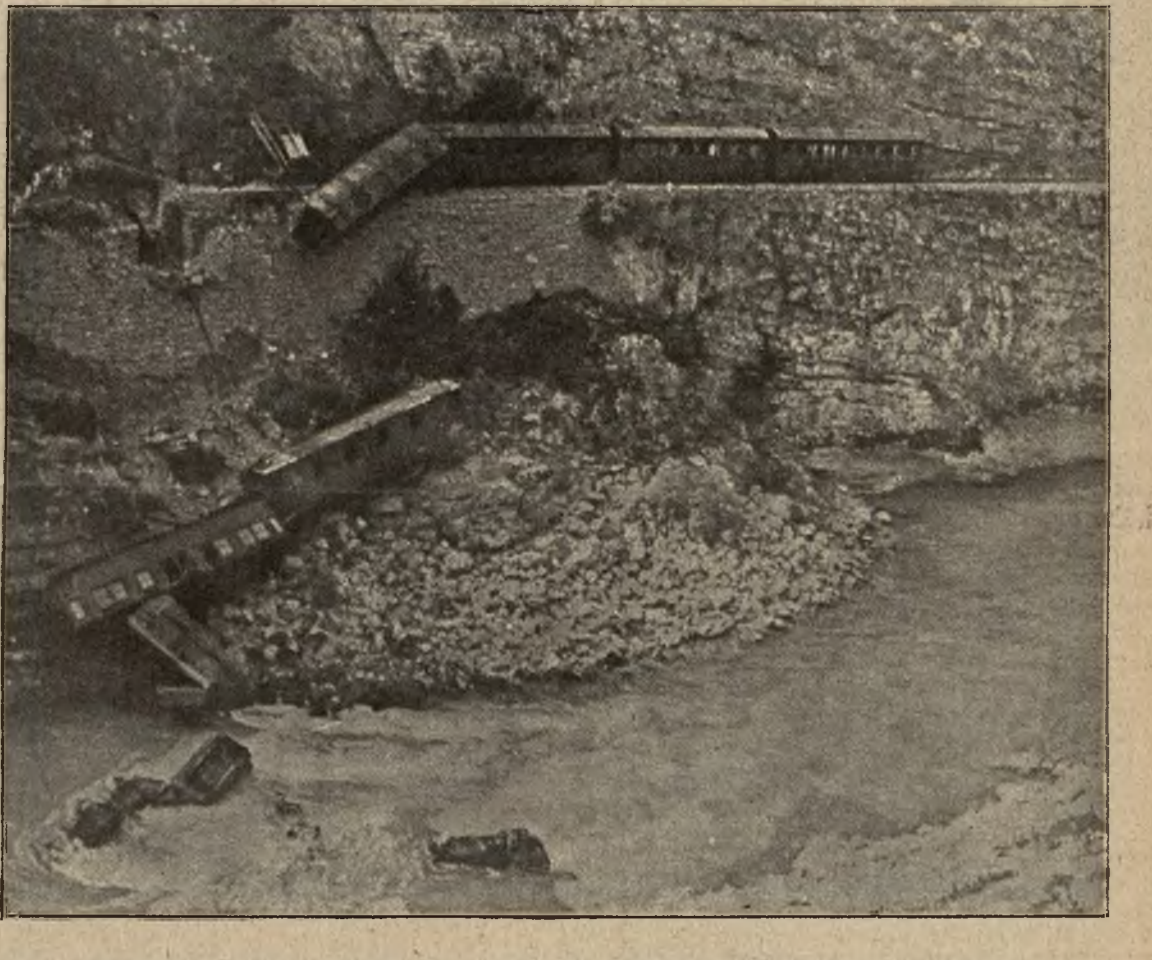
P. Wacław Makowski w czerwcu 1873 r. wstąpił do księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie, lecz niebawem powołany został przez E. Orzeszkową do założenia księgarni w Wilnie, którą prowadzi do dziś dnia. Przy księgarni tej istnieje od r. 1902 czytelnia polska, o znaczeniu której dla społeczeństwa polskiego na Litwie nie potrzeba się rozwodzić.

Jubilat znajduje się jeszcze w pełni sił, to też należy mu tylko życzyć, aby przez długie jeszcze lata pracował na niwie księgarstwa polskiego z tym samym, jak dotychczas, zapałem.

Wzorowy internat w Tłumaczu.

Coraz to częściej słyszy się narzekania na zepsucie młodzieży i spaczenie charakterów. Każdy zdaje sobie dobrze sprawę z pewnika, historyą stwierdzonego, że jaka młodzież, takie społeczeństwo. Najważniejszym czynnikiem rozkładczym po większych miastach, to brak lub przynajmniej trudność odpowiedniego nadzoru. Zaledwie drobna cząstka młodzieży szkół średnich po większych miastach znajduje pomieszczenie w internatach i bursach, a tem samem ma zapewnioną opiekę, reszta po prywatnych stancyach, a chociażby po domach rodzicielskich, ulega często zepsuciu, złamaniu ducha, zniszczeniu ciała. Już myślą przewodnią założyciela gimnazyum w Krzemieńcu było, aby latorośl i kwiat narodu usunąć od środowisk zepsucia. I dziś prawdziwi przyjaciele młodzieży i rodzice, którym dobro ich dzieci leży na sercu, przekładają szkoły średnie po mniejszych miastach nad centra kultury i zepsucia zarazem.

Do liczby takich szkół przybyło w r. 1910 rządowe gimnazyum z językiem wykładowym polskim w Tłumaczu, mające od września b. r. czterz klasy gimnazyalne po dwa oddziały. Pomyślano też o internacie. Ponieważ bursa powiatowa, przeznaczona dla dziatwy szkół ludowych, zaledwie garstkę uczniów szkół średnich pomieścićby mogła, przeto dzięki zabiegom i trudom miejscowego proboszcza, ks. Edwarda Tabaczkowskiego, wicemarszałka powiatu, powstał piękny, jednopiętrowy budynek, składający się z trzech olbrzymich sal (uczelnia, jadalnia, sypialnia), z po-



Katastrofa kolejowa w Bośni: Miejsce wypadku w pobliżu stacyi Prenj w dolinie Narenty.

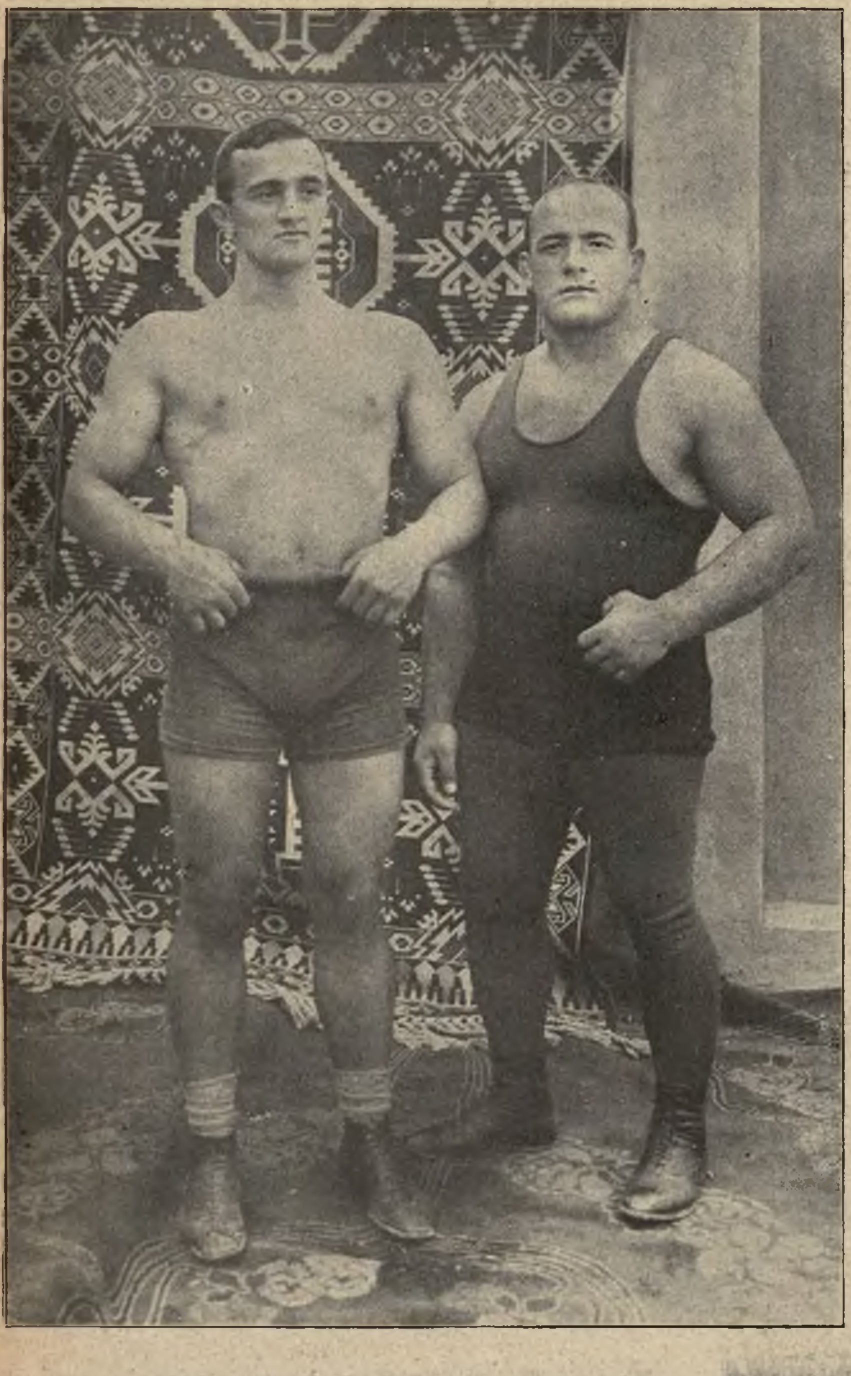


Budynek banku w Tirnowie po katastrofie.



Cerkiew św. Trójcy w Orechowicy po katastrofie.

Trzęsienie ziemi w Bułgaryi:



Walki zapaśnicze w Krakowie: Bracia Cyganiewicze.

mieszkań dla dwóch prefektów, z łazienek, z których młodzież internatu korzysta trzy razy w tygodniu. Około internatu znajduje się duży dziedziniec, przeznaczony do zabaw i gier, zaś część podwórza zamieniona została na pole doświadczalne, gdzie młodzież w wolnych chwilach pracuje pod kierownictwem profesora-naturalisty. W zimie część dziedzińca zamienia się na ślizgawkę.

Dyrektorem internatu jest założyciel ks. Edward Tabaczkowski. Prefekci internatu udzielają pomocy w nauce i pozostają w ustawicznym kontakcie z młodzieżą, stąd nadzór ścisły i wzorowy. Opłata miesięczna bardzo niska, bo od 40 koron, przyczem chłopcom niezamożnym, a pilnym i zdolnym, udzielane są ulgi. Za powyższą opłatą uczniowie otrzymują całkowite utrzymanie i pomoc w nauce.

Pięćdziesięciolecie „Bratniej Pomocy" we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 9).

W poprzednim numerze pisaliśmy o jubileuszu „Bratniej Pomocy" słuchaczów Politechniki lwowskiej. Obchód ten miał przebieg bardzo uroczysty i podniosły, bo zgromadził nietylko młodzież zgrupowaną w „Bratniej Pomocy", ale również bardzo liczny zastęp dawnych jej członków, którzy zjechali się na tę uroczystość z różnych stron kraju, aby odświeżyć serdeczne nici z dawnymi kolegami.

Ten liczny zjazd upamiętniono naturalnie wspólnemi fotografiami, z których zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwie, a mianowicie ogólną grupę członków „Bratniej Pomocy" i grupę dawnych jej prezesów.

Walki zapaśnicze w Krakowie.

Jedną z bardzo chętnie uprawianych gałęzi sportu, zresztą dosyć popłatną, jest atletyka. Sport ten jest także traktowany jako zawód przez ludzi, których natura obdarzyła wielką siłą, rozwijaną w nieustannym treningu.

Wśród polskich atletów w kronikach tego sportu zasłynął swojego czasu ogólnie lubiany Pytlasiński, który zdobywał laury na wszystkich prawie arenach świata. Obecnie spadek po nim objęli dwaj bracia Cyganiewicze. Starszy Zbyszko zdobył już wszędzie mistrzostwa w walkach zapaśniczych. Położył go tylko jeden atleta w Ameryce, Gotsch. Drugi młodszy, Władysław, wchodzi dopiero w świat, ale dotych-



Trzęsienie ziemi w Bułgaryi: Szkoła w Orechowicy, gdzie podczas katastrofy zginęło wiele dzieci.

czasowe jego zapasy rokują mu pierwszorzędne stanowisko wśród atletów świata.

W ostatnich tygodniach odbył się w Krakowie szereg walk zapaśniczych. Między innymi walczył także starszy Cyganiewicz z atletą kapitanem Binningem, którego pokonał. Młodszy, Władysław, zmierzył swe siły ze znanym atletą Lurichem i po trudnej, blisko godzinę trwającej walce, na sposób amerykański, zdobył palmę zwycięstwa.

Walki te, bardzo ciekawe, potrwają jeszcze kilka tygodni.

Illustracya nasza przedstawia obu głównych zwycięzców tego interesującego turnieju: Zbyszka i Władysława Cyganiewicza.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

Zadanie do przestawienia: Co prawda, to nie grzech.

Bilety wizytowe: Galicya, Tłumacz; Galicya, Andrychów; Irlandya, Dublin.

Arytmogryf:

J	o	k	a	j
E	n	b	e	a
N	a	d	t	o
I	s	e	n	s
E	w	e	r	b
Z	g	o	d	a
C	h	l	o	r
E	i	n	n	p
J	e	j	s	k
U	n	i	a	t

Zadanie do przestawienia: Co zanadto, to niezdrowo,

Trójkąt magiczny:

W	G	o	s	t	o	m	s	k	i
G	a	ł	a	s	ó	w	k	a	
O	m	a	r	l	i	c	a		
S	a	n	d	a	c	z			
T	o	p	o	l	a				
O	l	i	w	a					
M	i	r	t						
S	y	k							
K	u								
I									

Rebus: Kto chce ratować biedaka, to niech to spełnia w ukryciu, a nie szuka zato w rozgłosie nagrody.

Przeplatanka:

	T		S		R	
T	r	e	t	i	a	k
	e		a		p	
S	t	a	s	i	a	k
	i		i		c	
R	a	p	a	c	k	i
	k		k		i	

Szarada: Paderewski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, E. Bogdalska Koropuż, M. Arbesbauer Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blatterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl. D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn. M. Raszka Cieszyn, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, D. Zawadzki Jasło, J. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Kalinowska Mińsk, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, J. Halski Janów, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **E. Bogdalska Koropuż** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Głos Obrońców" pod redakcyą Dra Zygmunta Mandla zawiera w drugim numerze szereg poważnych rozpraw i artykułów, między innymi: Dra J. J. Przeworskiego: Kilka uwag o sądach i obrońcach. Dra Z. Lehrfreunda: O t. z. odwrotnych wyrokach zaocznych. Dra W. Goldblatta: Indykatura Trybunału kasacyjnego. Jak się lekarze bronią przeciw szykanom sądowym. Wybory do Izby adwokackiej. Obrony z urzędu i t. d. „Głos Obrońców" stoi na straży godności i interesów adwokatury polskiej.

Ze świata kobiecego.

Kilka uwag o obecnym sezonie.

Znaczna część Czytelniczek moich opuściła już miasta lub opuści je w najbliższym czasie, udając się na wywczasy letnie. Pragnę więc tym, które jeszcze nie wyjechały, dać kilka cennych wskazówek



Okrągła kapuzka z tiulu i koronek.

„na drogę“. Bardzo ważną rzeczą jest dbać o odpowiednią prezencyę w drodze. Już z chwilą wsiadania do przedziału kolejowego należy pamiętać o tem, że długa droga i nuda kolejowa usposabia towarzyszy i towarzyszki podróży do krytycznej obserwacyi. A stare przysłowie powiada bardzo mądrze: „jak cię widzą, tak cię piszą“. Panowanie nad sobą jest cechą prawdziwej damy i to powinno się przejawiać przy postępowaniu z towarzyszami podróży,



Suknia letnia z białej *lingerie,* przybrana tiuniką tiulową.

z służbą kolejową i t. d. Drugą bardzo ważną rzeczą jest odpowiedni strój. Podróż koleją jest najlepszą próbą smaku i kultury, a zarazem najlepszem przekonaniem się o zdolności łączenia elegancyi i prostoty. Prawdziwa dama nigdy nie włoży do podróży drogiego, zwracającego uwagę kostyumu. Jeśli bowiem spotykamy w przedziale złoto, klejnoty, szum jedwabi i t. p. to sąd nasz wydajemy zwykle w jednym kierunku, nie bardzo dla sądzonej przychylnym. Należy więc w podróż wybierać się w kostyumie prostym i skromnym. Już płytki bucik razi, a jeszcze bardziej nieodpowiada ubieranie się w ażurowe pończoszki. W podróży należy nosić buciki wysokie sznurowane brązowe albo czarne. Pończoszki winny być gęste i gładkie, aby chroniły przed kurzem, podobnie długie i obcisłe rękawiczki, których się nie zdejmuje. Nie należy także na drogę brać sukni starych i zbyt znoszonych, na których ząb czasu ich historyę zbyt wyraźnie wypisał. Jeśli się kładzie na siebie suknie, o których zwykło się mówić „na podróż wystarczą“, wskazuje to zwykle na fakt, że dama podróżująca ubiera się elegancko nie z wrodzonego poczucia estetycznego, ale tylko wtedy, gdy się chce pokazać przed swymi znajomymi lub sąsiadami.

Do dcbrego tonu należy także, aby panie nie



Suknia wieczorowa, przybrana koronkami.

wsiadały do przedziału, obładowane paczkami i pudłami, ale tylko z zgrabną torbą podróżną. Reszta powinna znaleźć odpowiednie pomieszczenie w koszach lub kufrach podróżnych. Ze sobą powinno się tylko to mieć, co jest nieodzowne potrzebne w czasie drogi.

Zmienna pogoda obecnego sezonu wpływa także na noszone toalety. Rano ubierać się można w kostyumy płócienne lub z lekkiego *frottè.* Noszone są także płócienne spodniczki i bluzki, na które wkłada się modne kolorowe, jedwabne żakieciki. Kostyum uzupełniają zwykle buciki płócienne i pończoszki w kolorze sukni. Na wieczory lub reuniony nosi się suknie jasne taftowe lub z *liberty.* Najszerzej roztoczyła moda wykwint w dziedzinie bluzek. Robione z koronki, są nieraz tak cienkie jak pajęczyna. Szyja powinna być zawsze swobodna. Noszenie biżuteryi zwracającej zbytnio uwagę jest uważane za *mauvais genre.* Również noszone są suknie z materyi *lingerie,* ozdobione ślicznemi wstawkami *Filet-antique,* albo też koronkami *Valencienne.*

Suknie z *lingerie* zdobione są często w pasie paskami z kolorowej wstążki. Moda nakazuje, aby pończoszki noszone do takich sukien harmonizowały z paskami w kolorze.

Kapelusze zaczynają się znowu trochę powiększać. Zwłaszcza przedpołudniem nosi się duże kapelusze, które służą zarazem do osłony przed promieniami słońca zamiast parasolek.

Chłodne wieczory wymagają, aby na szyje włożyć boa lub szal futrzany. Noszone są także szale



Czapka letnia z wstążki jedwabnej, przybrana koronką i różami.

tiulowe, te jednak raczej służyć mogą do ozdoby niż do ochrony przed zimnem.

Moda obecna absolutnie wyklucza noszenie woalek na twarzy, uważając je zarówno za szkodliwe, jak i nie potrzebne. Również wykluczony, nareszcie jest wszelki puder i sminka. Najnowsze wskaźniki mody stoją na tem stanowisku, że słońce i zdrowie lepiej zabarwiają twarz niż wszelkie sztuczne środki.



Suknia letnia z kolorowym staniczkiem i paskiem aksamitnym.

Jako zabezpieczenie przed niespodziewanym deszczem wprowadziła moda ładne bardzo lekkie jedwabne płaszczyki, które nosić można w małych torebkach. Są one nieprzemakalne, a torebka może być zabrana na spacer zamiast zwykłej torebki.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

4

Przysięga Stanisława.

Gdy Fernanda i Lusia obudziły się nazajutrz po wypadku, jasne promienie słońca wpadały już do ich pokoju. Na widok pogodnego, jesiennego dnia uśmiechnęły się radośnie, zapominając, na chwilę o rzeczywistości. Dzień wczorajszy przybierał kształty niewyraźne przykrego, nieprzyjemnego snu.

Fernanda pierwsza wyskoczyła z łóżka, lecz spostrzegłszy, że obydwie z siostrą spały w ubraniach, przypomniała sobie wszystko i nagle wybuchnęła płaczem.

Fernanda po chwili podbiegła do okna, sądząc że może w ogrodzie czeka na ich przebudzenie matka, z dobrą wiadomością.

Ale ogród był pusty, tylko stare, rozłożyste drzewa lśniły w promieniach słońca ostatkami złota i purpury i ostatnie rozkwitłe przez noc kwiaty kołysały się pyszne i barwne na wązkich łodygach. Po niebie rozbłękitnionem, jak turkus, nie przeciągała nawet najlżejsza chmurka.

Jakiż szalony kontrast tego radosnego, pogodnego otoczenia, z nieszczęściem, jakie je dotknęło tej nocy!

Oh! gdyby tak ojciec ukazał się nagle! Bo ojciec, fantastyczny niegdyś i nieobliczalny, lubiał, jak opowiadała matka, znikać nawet na dni kilka, w poszukiwaniach za wrażeniami artystycznej natury. Ale to było bardzo dawno! Teraz opuszczał tylko dom wtedy, gdy szedł na partyę pikiety lub szklankę wina do sąsiada. Pani Morel, która całą noc spędziła bezsennie, usłyszała płacz Fernandy i w tej chwili podbiegła pod okno. Była w towarzystwie komisarza policyi i jego sekretarza, który przybyli pierwszym pociągiem z Paryża w celu poczynienia pierwszych kroków śledztwa.

— Oto właśnie córki moje, które panu powtórzą całe zajście — rzekła do niego. — Fernando, Lusiu, schodźcie prędko!

Na widok zapłakanych sióstr, zbiegających do ogrodu, uczyniło się małe zamieszanie. Wszyscy sąsiedzi, których nieszczęście rodziny Morelów szczerze dotknęło, a którzy w milczeniu oczekiwali przy furtce rezultatów śledztwa, cisnęli się teraz do dziewcząt z wyrazami współczucia i sympatyi.

Komisarz początkowo chciał wszystkich usunąć, ale pomyślał, że może przecie dowie się czegoś ważnego, może ktoś z obecnych słyszał turkot powozu, głosy lub kroki? Ale nie! Nikt o niczem nie wiedział. Mieszkańcy tego małego miasteczka układali się zazwyczaj o wczesnej porze na spoczynek i nie zdarzyło się nigdy, aby im niespodziewanie spokój zakłócono. Jeden tylko z obecnych przypomniał sobie, że widział wieczorem pana Morela, oddalającego się w stronę dworca, wspartego na ramieniu pana Stanisława Gewolskiego, którego to znano już w sąsiedztwie z częstych jego odwiedzin do małego dworku.

— Tak, mąż odprowadzał na dworzec naszego gościa — przyświadczyła dziwnym głosem pani Morel. Widocznie pod wpływem boleści, wyłoniło się w umyśle jej lekkie podejrzenie, a może tylko żal, że gdyby nie ta spóźniona wizyta, mąż jej nie byłby uległ wypadkowi. W chwili, gdy komisarz drobiazgowo wypytywał Fernandę o ślady zauważone w ogrodzie i mur rozwalony, zadzwoniono gwałtownie do furtki.

— To pan Stanisław — zawołała Lusia z radosnym błyskiem zapłakanych oczów.

Stanisław, blady i przygnębiony, zbliżał się do rozmawiających, zdziwiony obecnością tylu osób.

— Pan wie już o naszem nieszczęściu? — zapytała Lusia, podając mu rękę.

— O waszem nieszczęściu? — powtórzył młody człowiek.

— Pan taki zmieniony, sądziłam, że już jest panu wiadomem, że ojciec nasz!...

— Cóż się stało z ojcem pani, panno Lusiu? — pytał niespokojnie Stanisław.

Ale, zanim zapytana zdążyła odpowiedzieć, już komisarz stanął obok Gewolskiego.

— Więc pan o niczem nie wie? — zapytał sucho.

Zdumienie młodego człowieka wzrastało.

— Jestem komisarzem policyi! — przedstawił się urzędnik.

Twarz Stanisława pokryła się bladością.

— Pan pozwoli — zwrócił się komisarz do pani Morel — że oddalę się na chwilę z panem. Może się czegoś dowiemy, bo to przecież ten pan widział ostatni męża pani przed...

— Przed czem? — podchwycił Stanisław. — Co się tu stało? Mój Boże!

Komisarz z łagodną stanowczością ujął go pod ramię i pociągnął w głąb domu, kierując się do salonu.

— Jeżeli coś złego się stało — próbował protestować młody człowiek — obowiązkiem moim jest pocieszać panią Morel i jej córki.

— Na to będzie miał pan dosyć jeszcze czasu — odpowiedział komisarz. — A teraz niech mi pan szczerze powie, czy naprawdę nie wie pan nic o dzisiejszem nocnem zajściu w domu państwa Morel?

— Jakże mógłbym wiedzieć, skoro pożegnałem wczoraj wieczorem pana Morel w jak najlepszem zdrowiu i humorze. I doprawdy nie wiem, o co chodzi.

— Zaraz się pan dowie, tylko zdawało mi się, że pan jako przyjaciel domu Morelów, bo coś w tym rodzaju dobiegło mnie z ust sąsiadów, mógłby mi dać pewne objaśnienia...

— Ależ, przez litość, niechże się dowiem nareszcie co za nieszczęście spotkało państwa Morelów.

Tyle było niepokoju i szczerości w słowach Stanisława, że komisarz musiał przyznać, iż podejrzenia, skierowane w jego kierunku, byłyby zupełnie bezpodstawne.

— Pan przepędził wczorajszy wieczór w tym domu? — zapytał łagodnie.

— Tak, panie komisarzu. Zaznajomiłem się z rodziną Morelów tego roku, nad morzem. Jestem dosyć osamotniony, bo ojciec mój jest zawsze bardzo zajęty swojemi pracami naukowemi.

— Ojciec pana jest dobrze sytuowany?

— Mój ojciec jest znanym lekarzem, Mateuszem Gewolskim.

— Aha! ten, który się zajmuje badaniami nad elektrycznością? Zapewne pomiędzy nim a rodziną Morelów nie istniał żaden związek przyjazny?

— Jeszcze nie, panie komisarzu! Stosunek mój do panny Lusi Morel był tego rodzaju, że mogłem tam bywać tylko jako narzeczony. To właśnie powiedział mi pan Morel w chwili, gdy mnie odprowadzał do pociągu. Byłem tego samego zdania i dzisiejszej nocy rozmówiłem się poważnie z ojcem.

— Aha! więc pan dzisiaj w nocy miał stanowczą rozmowę z doktorem Gewolskim? Czy przynajmniej jest z niej pan zadowolony?

Stanisław uśmiechnął się smutnie.

— Miałem nadzieję, że wzruszę ojca, licząc na jego przywiązanie do mnie, lecz jeszcze nie udało mi się. Ale doprowadzę do tego, jestem pewny — dodał młody człowiek stanowczo. — I dziś właśnie przyszedłem uspokoić pana Morela i zarazem pożegnać całą rodzinę na czas dłuższy, to jest do ostatecznej decyzyi ojca.

Komisarz, zupełnie zadowolony z wyjaśnienia Stanisława, opowiedział mu w krótkich słowach o zniknięciu malarza.

— Co? Pan Morel zniknął? - zawołał, blednąc, Stanisław.

— W każdym razie niema go w domu od wczoraj, a zdaje się, że pan jest ostatnią osobą, z którą się widział.

— Ależ, panie komisarzu, to straszne — wybełkotał z trudnością młody człowiek.

Komisarz potrząsnął głową, a na twarzy jego odbił się wyraz lekkiej ironii.

— Co pan ma na myśli? — zapytał oburzony Stanisław, który zauważył ten uśmiech.

— Mój panie — odparł poważnie komisarz. — Obowiązek nakazuje mi zapatrywać się sceptycznie. Niech mi pan powie, czy Morel miał nieprzyjaciół?

— To był najlepszy człowiek w świecie!

— Można być dobrym człowiekiem, a mieć nieprzyjaciół. Wiem od sąsiadów, że pan Morel był trochę dziwakiem, ale nie przypuszczam, aby komuś wyjątkowo zależało na usunięciu go... Tak, tak — mówił dalej komisarz, jak gdyby przypominając sobie — Morel był dziwakiem i podobno, dawniej jeszcze, zdarzało mu się znikać na kilka dni. Miał swoje manie... Weźmy na przykład tę manię do wodotrysku. Może i teraz coś podobnego...

— Ależ, panie komisarzu, to jest wykluczone! Bywam tu od paru miesięcy codziennie i nigdy nie zauważyłem czegoś podobnego.

W tej samej chwili zapukano do drzwi. To sekretarz policyi wzywał szefa, oznajmiając, że ma mu coś ważnego do zakomunikowania. Stanisław więc udał się do pani Morel i jej córek.

— Wie pan teraz wszystko? — zapytała Fernanda, zaledwie stanął na progu pokoju.

— Tak, wiem — odpowiedział Stanisław — wiem, że przyjaźń moja dla was, moje panie, spotęgowała się jeszcze od chwili, w której was to nieszczęście spotkało.

— Więc nasz biedny ojciec nie żyje? — zapytała Lusia, wybuchając płaczem.

— Ojciec pań zniknął, tyle wiemy na razie. W śmierć jego nie wierzę, mam to głębokie przekonanie, że żyje, że padł tylko ofiarą jakiegoś piekielnego podstępu. Nie macie panie nikogo, ani brata, ani krewnego, obowiązkiem moim jest wykryć prawdę. Nie spocznę w poszukiwaniach, aż naszego kochanego pana Morel, który był mi życzliwym przyjacielem, nie ujrzę tu, między nami!

Powiedziawszy te słowa, młody człowiek ucałował gorąco ręce pani Morel, pożegnał się z jej córkami i wybiegł z pokoju w poszukiwaniu za komisarzem i jego pomocnikiem. Zastał ich w ogrodzie oglądających raz jeszcze z drobiazgową systematycznością ślady walki, widoczne na ścieżce i murze.

— Pan już teraz zapewne nie wierzy, panie komisarzu, że zniknięcie pana Morela należy przypisać powrotnej fantazyi do artystycznego włóczęgostwa? — zapytał komisarza.

— Do dyabła! — zaklął urzędnik — zaczynam sam już rozum tracić w tej całej historyi. Pierwsza moja hypoteza była prawie że uzasadniona, a teraz patrz pan. Odkryliśmy pod murem wyraźne ślady kół w stronę Argenteuil. Z tego wnoszę, że pan Morel dobrowolnie nie udał się na przejażdżkę, bo zwykle odbywał swoje ekscentryczne wycieczki pieszo. Niema czasu do stracenia. Idźmy za tymi śladami, dokąd się da, a może coś nowego wpadnie nam w ręce.

Ruszyli zaraz w drogę, śledząc bacznie dość wyraźne znaki kół na miękkiej, wilgotnej ziemi. Szli w milczeniu, coraz bardziej gorączkowo i niecierpliwie. Komisarz tylko od czasu do czasu pomrukiwał coś pod nosem. Gdy doszli do pierwszych małych domków Argenteuil, komisarz przystanął, zdziwiony. Slady biegły w kierunku Sekwany. Niepokój odmalował się na twarzach wszystkich trzech mężczyzn.

Nagle Stanisław, który szedł w małem oddaleniu, wydał stłumiony okrzyk trwogi i nie mogąc wydobyć słowa z zaciśniętej krtani, nerwowym ruchem wskazał towarzyszom jakiś przedmiot, czerniejący nad samym brzegiem wody.

Był to kapelusz o szerokich brzegach, taki sam, jak zazwyczaj Morel nosił! Nie płynął on prądem wody, lecz położony był starannie na wysokich trawach nadbrzeżnych, najwidoczniej dla zwrócenia uwagi.

— Ah! do dyabła! — zawołał komisarz — komuś zależało, zdaje się, aby ten kapelusz nie zniknął tak, jak jego właściciel.

— Więc pan przypuszcza? — zapytał Stanisław zdławionym głosem.

Ale komisarz mu już nie odpowiedział. Dostrzegł on o parę kroków od kapelusza porzucony portfel z ciemnej skóry i już go podnosił i oglądał starannie.

— Popatrzno pan — zawołał — czy to nie przypadkiem portfel pana Morela?

Stanisław, blady ze wzruszenia, wziął do ręki przedmiot znaleziony! Tak, nie było wątpliwości! Portfel był własnością Morela, co utwierdzał dostatecznie monogram, wybity w jednym z rogów.

— Więc go przecież zamordowali — wyszeptał z trudem.

Komisarz uśmiechnął się niedowierzająco.

— Niekoniecznie, mój panie. Kapelusz porzucony w ten sposób, że go prąd wody unieść nie może! I ten portfel tak łatwy do znalezienia!... Jeżeli go wrzucono do wody, to pocóż zostawiono te rzeczy, świadczące tak jasno o tożsamości jego osoby?

— Więc pan myśl, że...

— Myślę — przerwał komisarz — że gdyby pana Morela wrzucono do Sekwany, wrzuconoby z nim razem i jego kapelusz i jego portfel. Przypuśćmy jednak, że stary maniak chciał sobie zażartować z tych, którzy go poszukiwać będą, że chciał, aby uwierzono w jego samobójstwo; zostawia więc rozmyślnie na brzegu kapelusz i znaczony portfel.

— Ależ w jakim celu? Pan Morel nie miał powodu opuszczać swojej rodziny i symulować samobójstwa!

— Zapomina pan o jego manii prześladowczej! Cierpiał na nią i sławny Rousseau, który od czasu do czasu uczuwał potrzebę pójścia gdzieś w świat, gdzie go oczy poniosą i znikał na całe tygodnie.

— Ależ, panie komisarzu, a powóz który oczekiwał go pod murem ogrodu i którego ślady zawiodły nas aż tutaj?

— A może właśnie i ten powóz był obmyślany! Aby uwierzyć w morderstwo, musiałbym mieć do tego dowody! I gdyby rzeczywiście zamordowano pana Morela, ciała jego tu z pewnością nie znaleziemy. Przedmioty te, jak raz jeszcze powtarzam, porzucone zostały dla zmylenia śladów. Zdaje mi się, że najrozsądniej zrobimy, postępując dalej za śladami kół, które, o ile się nie mylę, skręcają z tego miejsca w stronę Epinay.

Jednak rada komisarza nie na wiele się przydała. W odległości kilkunastu metrów ślady były zatarte i niewiadomo w jakim szły kierunku, czy do Epinay, czy też Enghien...

Kilkakrotnie komisarz ze swoim pomocnikiem przebiegali drogę, węsząc jak pies za zwierzyną. Wszystko napróżno! Dalsze poszukiwania okazały się bezowocne!

— Niech pan wraca do pani Morel i jej córek — zadecydował wreszcie komisarz. — Ja zaś muszę natychmiast iść zdać raport w dyrekcyi.

— Co ja mam im powiedzieć? — zapytał Stanisław.

— Nie trzeba im robić wielkich nadziei, ani też odbierać ostatnich. Niech się pan stara pocieszyć je, oto wszystko!

— — — — — — — — — — —

Stanisław niepewnym krokiem wchodził do mieszkania swoich przyjaciół, gdzie tak niedawno jeszcze szczęście i radość panowały niepodzielnie.

— Cóż pan nam nowego przynosi? — zawołały wszystkie trzy, biegnąc ku niemu niespokojne i drżące.

— Nic nowego, niestety! Mamy poszlaki, ale bardzo niejasne! O tem właśnie pragnąłbym z panią pomówić na osobności.

Twarz pani Morel przyoblekła się bladością. — Była pewną, że Stanisław przychodzi z rozpaczliwą wieścią, a tylko przez wzgląd na córki nie chce mówić.

— Pan chce ze mną mówić na osobności? — wyszeptała, ledwo poruszając ustami.

— Tak, pani.

Na znak matki, wylęknione dziewczęta wyszły z pokoju, lecz przedtem jeszcze Fernanda uważnie i przenikliwie spojrzała w twarz Stanisława — odpowiedział jej pełnem otuchy spojrzeniem.

— A teraz, niech pan mówi prawdę! całą prawdę! — zawołała pani Morel, chwytając rozpaczliwie za rękę młodego człowieka.

Stanisław w krótkich słowach powtórzył jej przypuszczenie komisarza.

— Więc on sądzi, że mój biedny mąż popadł znowu w tę chorobliwą manię, z której, jak sądziłam, z wiekiem już zupełnie wyleczony został! A może też, powracając ze stacyi, spotkał się ze znajomymi i ci pociągnęli go na szklankę wina?

— Tak pani sądzi?

— Niestety mój panie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył W. M. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nazwisko polskiego powieściopisarza, ostatni tytuły dwu jego utworów, połączone spójnikiem.

□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Szlachetny kamień. 2. Godność. 3. Epopeja indyjska. 4. Miejscowość w Afryce. 5. Zaraza. 6. Przyrząd krawiecki. 7. Przyrząd krawiecki. 8. Lekarz. 9. Zjawisko psychologiczne. 10. Miasteczko w Galicyi. 11. Imię męskie. 12. Zwiastuny ognia.

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Ona tęskni za Waciem. Jar, ława, role, tępy.

Zagadka literacka.
Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów podanych dzieł. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

Stuart?
Zerwane struny?
Wygnańcy?
Dwie łąki?
Przed wschodem słońca?
Gołębie?
Ostatni Rzymianie?
Szatan i kobieta?
Północna wyprawa?

Bilety wizytowe.
Ułożył W. M. Wadowice.

Z liter na biletach odgadnąć zawód, ewentualnie godność poszczególnych osób.

TEOFIL C. PIRO

KAROL DAMET

ROMAN SOT

PROT AS

Szarada.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Pierwsza z drugą dla człowieka
Za ostatnie łoże służy,
I w milczącej kruchcie czeka,
Czeka króciej, albo dłużej.
Pół zaś pierwszej, z drugą, trzecią,
Na operze śpiewak nuci,
Aż do nieba tony lecą,
Aż się serce z bólu smuci...
Wszystko razem na chrzcie dają,
A ludzie czczą, uwielbiają!

Arytmogryf.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Cyfry i kwadraciki zastąpić literami, by w pionowych rządkach otrzymać pięć wyrazów o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane od górnego na prawo, utworzą imię męskie.

8	7	□	6	17
9	□	2	□	16
□	4	1	5	□
10	□	3	□	15
11	12	□	13	14

Znaczenie rzędów pionowych: 1. Część ciała. 2. Zasłużony obywatel Warszawy. 3. Pagórki złożone z piasku. 4. Kawał drzewa. 5. Objaw wielkiego smutku lub radości.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Eugenii Żmijewskiej: Serduszko.*

Ustalona sława

jest, że Gramofon z marką **„aniołek piszący"** jest synonimem aparatu, odtwarzającego muzykę i śpiew czysto i naturalnie, nie powinien się więc nikt dawać zwodzić szumnym reklamom, któremi konkurencya zachwala swoje towary, lecz zaglądnąć do **jedynego składu oryginalnych Gramofonów aniołkowych**



we Lwowie ul. Sykstuska 2 Telefon 1560. **Józefa Wekslera** **w Krakowie** ul. Floryańska 25. Telefon 1241.

by się przekonać, że wyroby gramofonów aniołkowych są szczytem techniki na punkcie udoskonalenia i **żaden inny wyrób nie wytrzymuje porównania z temiż.**

Największy wybór płyt pierwszorzędnych artystów otrzyma się tylko na płycie aniołkowej.

Demonstracya bez przymusu kupna. — Ulga w spłatach ratalnych.

Gramofon koncertowy z 5 płytami t. j. 10 zdjęć kosztuje **Koron 50·—.**

Wszelkie płyty prócz aniołkowych i sonofon kosztują po **Koron 2·—**



Pierwsza krak. fabryka lalek Kraków, Wolska L. 1 wysyła odwrotnie każde zamówienie.

Marzeniem dziewczątek są jedynie nasze lalki z włosami do czesania i mówiące: Mama.



Stale na składzie **od K 1·90 do K 35.** Wysyła odwrotnie każde zamówienie.

= Nowo otwarta =

JEDYNA W KRAKOWIE

Pierwszorzędna ręczna

„Pralnia krystaliczna"

oraz Zakład chemicznego czyszczenia i artystycznego farbowania

KRAKÓW-ZWIERZYNIEC

NR. TELEFONU 2035

Główne filie w Krakowie:

Rynek Główny 9 (Pasaż Bielaka), ulica Zwierzyniecka 18, ulica Krowoderska L. 58 róg Czarneckiego.

Wykonuje wszelkie oddane roboty jak najstaranniej i na oznaczony czas. Po odbiór i z dostawą bielizny do domu posyła pralnia bezpłatnie własnych ekspresów, na żądanie telefoniczne lub pisemne.

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume do Wenecyi i Ancony
Przez Fiume do Dalmacyi

Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska po morzu Adryatyckiem, zawsze wzdłuż wybrzeży, przez morskie cieśniny i pomiędzy wyspami na morze. Spokojne.

Informacye w agenturach Międzynarodowego Towarzystwa wagonów sypialnych

Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume" dla okrętów parowych.

Kraków, Grodzka L. 25



ZA DARMO i opłacony wysyła bogato ilustrowany cennik.

BLUZKI i HALKI

od skromnych do najwytworniejszych.

Fabryczny skład Płócien, Bielizny damskiej, Bielizny pościelowej, stołowej oraz kompletnych wypraw ślubnych

Torebki, Paski, Żaboty, Kołnierze, Krawaty, Pończochy, Rękawiczki glace, duńskie, jedwabne i niciane, Szale gazowe i koronkowe, **Woalki, Wstążki, Koronki, Kwiaty, Pióra** strusie, **Biżuterye i t. p. poleca w wielkim wyborze**

Karol Jarosz przedtem **Zimler i Spółka**

Kraków, Rynek 41, Linia A-B. Telefon 2329

Od wielu lat znana

Restauracya hotelu pod „Różą"

w Krakowie, róg ul. Floryańskiej i św. Tomasza.

Poleca: smaczne i zdrowe

Obiady z 4-ech dań po K 2·40

(w abonencie opust) i àla carte.

Przyjmuje zamówienia na wesela i uczty. **Gabinety** dla mniejszych Towarzystw.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 1368.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Kraków, Sukiennice 11 — Zakopane, Krupówki

WIELKI WYBOR KORALI.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. MOZAIKI Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór torebek damskich.	Wielki wybór ZABAWEK. Lalki. Krakowianki. Laski i toporki. Kartki korespondencyjne ilustrowane.

PRYMUSY

oryginalnie szwedzkie



Nr.	30	0	1
K	8·59	9·50	10·30



Zdolnych agentów

poszukuje za stałą miesięczną pensyą w każdej miejscowości Austr.-Węg. i za granicą do sprzedaży różnych losów wartościowych na raty, oraz zastępstwo asekuracyjne. Zgłoszenia pod Generalna Reprezentacya, Kraków, Dietla L. 73. Holzmann.



Maszynki do golenia

Nr. 1 z 2 ostrzami	K	1·10
„ 2 „ 6 „	„	2·30
„ 4 „ 6 w ładnej kasetce	„	4·50

poleca

B. Greschler

Skład towarów żelaznych

KRAKOW, UL. GRODZKA L. 43.

Cenniki ilustr. darmo i opłatnie.

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie — poleca w wielkim wyborze — **C. SZCZURKOWSKI** W KRAKOWIE **ul. Grodzka 2**

„HOTEL BELVEDERE"

Tel. Nr. 537 **Kraków, ul. Basztowa 27** (róg ul. Pawiej) tuż obok dworca kolejowego i Teatru miejskiego

Wszelki komfort. — Wspaniały widok na miejskie plantacye. — Przystanek kolei elektrycznej

CENY NIZKIE.

KAWIARNIA i RESTAURACYA.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.